

FERDYNAND LASSALLE

Ferdynand Lassalle (wymawia się: Lasal) urodził się 11 kwietnia 1825 roku w Wrocławiu z zamożnej rodziny żydowskiej. Od najwcześniejszych lat już wzbudzał podziw swemi niepospolitemi zdolnościami umysłowemi oraz charakterem śmiałym i niezależnym. Śmiałość w wypowiadaniu swego zdania i przekonania radykalne poróżniły go ze zwierzchnością gimnazyalną, wskutek czego opuścił gimnazyum i wstąpił do szkoły handlowej w Lipsku, aby za przykładem ojca poświęcić się zawodowi kupieckiemu. Lecz i tu nie lepiej mu się działo. Ciągłe zatargi z nauczycielami i zupełny brak zamiłowania do handlu skłoniły go do opuszczenia i tej szkoły. Piętnastoletni wówczas

Lassalle postanowił wstąpić do uniwersytetu, oświadczył jednak przytem ojcu, że ani medycyny ani prawa studyować nie myśli, gdyż, jak się wyraził, zarówno lekarz jak i adwokat są handlarzami, kupczącymi swą wiedzą.

W uniwersytecie Lassalle studyował filologię i filozofię. Ukończywszy studya w dwudziestym roku życia, udał się do Paryża, aby popracować w tamtejszych bogatych bibliotekach. Paryż był wówczas nietylko centrem umysłowego ruchu Europy, lecz również centrem ruchu socyalistycznego. Prawdopodobnie też tam Lassalle został socyalistą.

Po powrocie do Niemiec Lassalle poznał się w roku 1846 z hrabiną Hatzfeldt. Inteligentna ta kobieta była ofiarą brutalności swego męża, który znęcał się nad nią w okrutny sposób, usiłował odebrać jej dzieci i pozbawić majątku. Rodzina jej bolała nad jej losem, lecz, ulegając przesądom arystokratycznym, wolała zamykać oczy na bezprawia, niż zapozwać okrutnika do sądu i nadać sprawie rozgłos. Lassalle przejął się do głębi losem pokrzywdzonej kobiety. Widział on w tym wypadku nietylko krzywdę pojedyńczej osoby, lecz przejaw naszych oburzających stosunków społecznych, w których możni i silni bezkarnie gnębią i krzywdzą słabych i bezbronnych. Postanowił więc wystąpić w obronie zdeptanych praw kobiety i wytoczył proces jej mężowi. Walka to była nierówna. Młody Lassalle miał przeciwko sobie bogatą i potężną rodzinę arystokratyczną; nawet krewni hrabiny wystąpili przeciw niemu; nie będąc prawnikiem, musiał walczyć z krętactwami niesumiennych adwokatów, a nadto ponosić wielkie ofiary na koszta procesu. Ale pod jednym względem przewyższał przeciwników: oto posiadał żelazną energię, a wszelkie napotykane przeszkody, zamiast go zrażać, raczej dodawały mu bodźca do dalszych wysiłków. Sprawa trwała całych ośm lat i skończyła się zwycięstwem. Hrabina odzyskała swój majątek, a Lassalle otrzymał dożywotnią rentę, wynoszącą 7.000 talarów rocznie.

Proces ten, któremu Lassalle nadał szeroki rozgłos, ogłaszając w pismach szczegóły, wysoce kompromitujące arystokracyę, kosztował go jednak wiele sił i czasu. Właśnie gdy rozegrywające się wówczas wypadki polityczne wymagały całkowitego oddania się sprawom społecznym, Lassalle zmuszony był bronić się przeciwko intrygom, w które usiłowali go uwikłać jego przeciwnicy. W sierpniu roku 1848, roku powszechnej rewolucyi europejskiej, Lassalle stawał przed sądem, oskarżony przez hrabiego Hatzfelda o podmawianie do kradzieży. W czasie siedmiodniowych rozpraw Lassalle z oskarżonego przedzierzgnął się w oskarżyciela. Piorunująca jego mowa wywarła niezwykłe wrażenie. Sędziowie przysięgli jednomyślnie go uniewinnili, a publiczność zgotowała mu pełną zapału owacyę.

W ruchu rewolucyjnym 1848 r. Lassalle brał bardzo czynny udział. Mieszkał on wtedy w Düsseldorfie nad Renem i pozostawał w bliskich stosunkach z Marksem, który wówczas wydawał w Kolonii „Nową Gazetę Reńską". Lassalle należał do współpracowników tego pisma. Król pruski, przerażony wzbierającym ruchem rewolucyjnym, przyrzekł

był w marcu wiele reform demokratycznych i zwołał na kwiecień Zgromadzenie Narodowe. W miarę jednak jak wychodziło na jaw niedołęstwo burżuazyi, której przedstawiciele w Zgromadzeniu nie skąpili szumnych frazesów, ale rewolucyi ludowej bali się jak ognia, król odzyskiwał pewność siebie, aż wreszcie postanowił zgnieść rewolucyę. W listopadzie ogłoszony został w Berlinie stan oblężenia, straż obywatelska została rozwiązana, a Zgromadzenie przeniesione ze stolicy do małego miasteczka Brandenburga. Na te gwałty przedstawiciele burżuazyi odpowiedzieli wezwaniem do niepłacenia podatków i biernego oporu. Rozumie się, że pod tym szumnym frazesem kryło się w gruncie wezwanie do biernego poddania się przemocy rządowej, i jeżeli rząd, łamiąc dane uroczyście przyrzeczenia, zdradzał lud, to sprzeniewierzała mu się i burżuazya, małodusznie ustępując rządowi. To też wszyscy szczerzy rewolucyoniści, a między nimi Lassalle i Marks, ostro piętnowali tchórzostwo burżuazyi i wzywali ludność do zbrojnego wystąpienia przeciwko zdradzieckiemu rządowi. Wszyscy oni zostali uwięzieni i oddani pod sąd.

Na obronę swą przed sądem Lassalle zawczasu przygotował wielką mowę, która w gruncie była nie obroną, lecz namiętną mową agitacyjną, gwałtownie napadającą na rząd i małoduszną burżuazyę. Mowa ta jeszcze przed rozprawą sądową została oddana do druku, o czem gdy się sąd dowiedział, zarządził, aby się sprawa toczyła przy drzwiach zamkniętych. Wobec tego Lassalle, któremu chodziło nie o obronę własną, lecz o wywarcie wpływu na ludność, zrzekł się zupełnie obrony. Pomimo to sędziowie przysięgli uniewinnili go.

Oto jak Lassalle w tej mowie charakteryzuje zachowanie się burżuazyi i zalecany przez nią bierny opór: „Bierny opór, moi panowie, musimy przyznać w tem słuszność nawet naszemu wrogowi, bierny opór Zgromadzenia Narodowego był w każdym razie zbrodnią. Jedno z dwojga. Albo król, używając znanych środków, miał prawo tak postąpić, — a wówczas Zgromadzenie Narodowe, opierając się prawnej czynności króla i wnosząc zarzewie niezgody do kraju, było gromadą buntowników i rokoszan; albo środki, przedsięwzięte przez króla, były gwałtem nieprawnym, — a wówczas należało bronić wolności narodu czynnie, z narażeniem życia, wówczas Zgromadzenie Narodowe powinno było wezwać głośno kraj cały do broni. Wówczas ów szczególny wynalazek biernego oporu stawał się tchórzliwą zdradą wobec narodu, wobec obowiązku bronienia praw narodu, jaki miało Zgromadzenie... Pojedyńcza osoba, moi panowie, jeśli państwo lub tłum dokonywa nad nią gwałtu, może z honorem stawić bierny opór; ja, jeśli mnie zasądzicie, mogę odwołać się do moich praw i protestować, nie mam bowiem potrzebnej siły do czynnej ich obrony... Naród może uledz przemocy, jak uległa jej Polska, ale nie uległa ona dopóty, aż pobojowisko nie przesiąkło krwią najszlachetniejszych jej synów, aż ostatnich jej sił nie zmiażdżono... Lecz nie zdobywszy się na odwagę walki, nie odwoławszy się wcale do świeżych sił narodu, stawiać bierny opór jest sromotą, najwyższą niedorzecznością i największem tchórzostwem, jakie kiedykolwiek doradzano narodowi. Bierny opór, moi panowie

jest to sprzeczność sama w sobie, jest to opór wszystko znoszący, opór nie opierający się, opór, który nie jest oporem".

Rząd jednak pragnął zemsty i nie dał za wygraną. Wytoczono więc Lassallowi drugą sprawę, tym razem już nie przed sądem przysięgłych, lecz przed zwykłym trybunałem, złożonym z płatnych przez rząd sędziów. Sędziowie ci uznali Lassalla winnym oporu władzy i skazali go na sześć miesięcy więzienia. Gdy siostra Lassalla podała do króla prośbę o ułaskawienie, Lassalle, dowiedziawszy się o tem, wystosował do króla protest przeciwko tej prośbie, bez jego wiedzy i zgody podanej.

Po burzliwych wypadkach roku 1848 nastąpił okres reakcyi. Król pruski „nadał" krajowi konstytucyę, będącą zaledwie nędznym cieniem tych rozległych reform, które uroczyście był przyrzekł przed niedawnym jeszcze czasem. Opierał się on jednak na sile militarnej, i burżuazya zmuszona była zadowolić się nową konstytucyą. Przyszło jej to tem łatwiej, że nowa konstytucya, zapewniając burżuazyi wpływ na prawodawstwo, jednocześnie pozbawiała tego wpływu robotników. Przemysł niemiecki nie był jeszcze wówczas tak wysoko rozwinięty, jak dziś, a proletaryat był nieliczny. Pod względem wyrobienia politycznego proletaryat bardzo wiele wówczas pozostawiał do życzenia, a świadomość klasowa zaledwie się w nim rozwijać poczynała. Socyalizm nader nielicznych liczył zwolenników. Większość myślących robotników nie rozumiała sprzeczności, zachodzącej pomiędzy interesami proletaryatu a burżuazyi; przeciwnie, w opozycyjnej burżuazyi widzieli oni naturalnych przewodników klasy pracującej. Rozumie się, że w takich warunkach nie było mowy o prowadzeniu przez proletaryat akcyi politycznej na własną rękę. Robotnicy szli wtedy za burżuazyą, służyli jej interesom politycznym i byli narzędziem w jej rękach. Burżuazya zaś o rewolucyi nie myślała. To też opozycya jej nie była straszną dla rządu. W życiu politycznem Niemiec zapanował na jakiś czas zastój.

W tym czasie Lassalle, przeniósłszy się z Düsseldorfu do Berlina, oddał się całkowicie swym badaniom naukowym, od których oderwała go była rewolucya. Napisał on wtedy dwa wielkie dzieła, z których pierwsze traktuje o filozofii Heraklita, starożytnego filozofa greckiego, drugie zaś, zatytułowane „System praw nabytych", zawiera filozoficzną krytykę prawa cywilnego. Oba te dzieła zjednały Lassallowi rozgłos w świecie naukowym. W wolnych chwilach Lassalle znajdował jeszcze czas na poezyę. Napisał on w tym czasie dramat historyczny wierszem; w dramacie tym odmalował walkę o wolność, która toczyła się w Niemczech w XVI stuleciu.

W roku 1859 widzimy Lassalla znowu na widowni politycznej. Wojna francusko-austryacka oraz poczynający się zatarg pomiędzy burżuazyą a rządem pruskim poruszyły wszystkie umysły. Lassalle, który przez pewien czas utrzymywał stosunki z przedstawicielami burżuazyjnej opozycyi, licząc na możliwość jakiegokolwiek współdziałania z nimi w walce z wstecznym rządem pruskim, ostatecznie zerwał z nimi, doszedł bowiem do wniosku, że od burżuazyi niczego oczekiwać nie można. Nie mogła ona zwyciężyć rządu, bo nie miała odwagi

chwycić się środków prawdziwie rewolucyjnych. Umyślił on wtedy założyć w Berlinie wielki dziennik polityczny, około którego mogłyby się zgrupować wszystkie żywioły prawdziwie demokratyczne. Udział w redakcyi zaproponował Marksowi i Engelsowi, przebywającym wówczas w Anglii. Projekt ten jednakże nie został urzeczywistniony.

Tymczasem zatarg pomiędzy rządem a liberalną burżuazyą przybierał coraz ostrzejszy charakter. Przyczyną zatargu było dążenie rządu do powiększenia armii. Większość sejmowa przeciwna była tym planom rządowym, początkowo jednak uchwaliła żądany kredyt na jeden rok z zastrzeżeniem, że jest on tylko tymczasowy. Pomimo to rząd zreorganizował armię w taki sposób, jak gdyby kredyt uchwalony został przez sejm na stałe.

To postępowanie rządu miało ten skutek, że sejm odmówił kredytu zupełnie. Dwukrotnie sejm był przez rząd rozwiązywany i za każdym razem naród wybierał posłów opozycyjnych w coraz większej liczbie. Za każdym razem nowo obrana Izba odmawiała rządowi potrzebnych funduszów, wyrażała nieufność, a rząd najspokojniej, wbrew wyraźnym przepisom konstytucyi, ściągał podatki i wydatkował fundusze państwowe, nie zważając na uchwały Izby. Sejm powoływał się na konstytucyę i wolę narodu, król zaś na swe królestwo z bożej łaski. Jasnem było, że zwycięży ta strona, która ma siłę. Król rozporządzał wielką armią, której mógł użyć w każdej chwili; tej zaś sile burżuazya mogła przeciwstawić tylko mowy sejmowe i artykuły dziennikarskie, przyczem przez usta swych przedstawicieli nie przestawała zapewniać, że rewolucyi nie pragnie i nie dąży do niej. Zatarg ten, zwany zatargiem konstytucyjnym, ciągnął się cztery lata i zakończył się zwycięstwem rządu.

Pogląd swój na zatarg konstytucyjny Lassalle wyłożył w odczycie, wygłoszonym na wiosnę roku 1862 w Berlinie. Odczyt ten znany jest pod tytułem „O istocie konstytucyi“. Kwestya konstytucyjna, powiada Lassalle w swym odczycie, jest kwestyą siły. Konstytucya tylko wtedy i tak długo może istnieć, dopóki jest wyrazem rzeczywistego stosunku sił. Naród wtedy tylko posiada w konstytucyi obronę przeciwko samowoli rządu, gdy gotów jest i może obronić się i bez konstytucyi. Najlepiej zrozumiał to sam rząd, to też z takim uporem dąży do powiększenia wojska, chcąc w ten sposób zmienić na swą korzyść stosunek sił.

W tymże czasie, to jest również na wiosnę roku 1862, Lassalle wygłosił w stowarzyszeniu robotniczem w Berlinie słynny swój odczyt pod tytułem: „Program robotników“. Od tego odczytu, można powiedzieć, rozpoczyna się właściwa działalność Lassalla wśród robotników, działalność, która trwała wszystkiego dwa lata, a która jednak zjednała mu nieśmiertelną sławę. „Program robotników“ został wydrukowany i natychmiast przez policyę skonfiskowany. Lassallowi wytoczono proces „o podburzanie klas nieposiadających przez podawanie w nienawiść i pogardę klas posiadających“. Nie pomogła świetna obrona, w której zwycięsko odparł zarzuty prokuratora, a która, jak wszystkie jego obrony sądowe, jest mową agitacyjną (wydana została pod tytułem

„Nauka i robotnicy“). Sąd skazał go na cztery miesiące więzienia. Kara ta została później zamieniona na karę pieniężną przez sąd apelacyjny, w którym Lassalle wygłosił wielką mowę o pośrednich podatkach i położeniu klas pracujących. Mowy te, zwłaszcza zaś „Program robotników“, zwróciły na Lassalla uwagę inteligentniejszej cząstki proletaryatu niemieckiego.

Celem uprzytomnienia warunków, w jakich rozpoczęła się propagatorska działalność Lassalla, musimy przedstawić, choćby w najogólniejszych zarysach, ówczesny stan proletaryatu i stosunek jego do burżuazyi.

Jak powiedzieliśmy wyżej, proletaryat niemiecki pozostawał wówczas pod kuratelą burżuazyi, która zorganizowała w głównych centrach przemysłu szereg stowarzyszeń robotniczych kształcących. W stowarzyszeniach tych prowadzone były wykłady z dziedziny literatury, sztuki, historyi, nauk przyrodniczych i t. p. Politykę jednak starannie omijano. Burżuazyjni opiekunowie proletaryatu głosili, że robotnicy kierowanie sprawami politycznemi pozostawić powinni burżuazyi, sami bowiem zbyt mało są oświeceni i zbyt niedojrzali. Z tego samego powodu burżuazya wrogie zajmowała stanowisko wobec żądania głosowania powszechnego. Wielki wpływ miał wówczas liberalny „Związek narodowy“, burżuazyjna organizacya polityczna, licząca 20.000 członków i rozporządzająca znacznymi funduszami. Ale robotników burżuazya trzymała zdala od tej organizacyi z obawy, aby przez samą swą liczebność nie zdobyli w niej wpływu. Wszelkie starania inteligentniejszych przedstawicieli proletaryatu o ułatwienie robotnikom wstępu do „Związku narodowego“ rozbijały się o nieprzezwyciężony opór liberałów. Słowem, burżuazya chciała, aby proletaryat wyrzekł się wszelkiej działalności politycznej i jej samej powierzył wyłączną pieczę o swe interesy. Temu dążeniu do ugruntowania jej wpływu na proletaryat służyć właśnie miały owe stowarzyszenia kształcące. Miały one wytworzyć coś w rodzaju arystokracyi robotniczej, przez którą burżuazya mogłaby trzymać pod swym wpływem cały proletaryat.

Na nędzę, brak pracy, niepewność jutra i wszystkie klęski, wynikające z produkcyi kapitalistycznej, miała burżuazya dla proletaryatu lekarstwo, sporządzone według recepty ekonomisty burżuazyjnego Szulcego-Delicza. Ten wychwalany przez burżuazyę apostoł, zwany przez nią „zbawcą robotników, królem w dziedzinie społecznej“, zalecał robotnikom zakładanie stowarzyszeń, opartych na samopomocy. Stowarzyszenia te miały być niezawodnym środkiem na wszystkie klęski społeczne. Działalność ich była różnorodna: celem jednych było udzielanie zaliczek rzemieślnikom; były to więc kasy pożyczkowe; inne stowarzyszenia nabywały hurtem dla swych członków materyały surowe, maszyny i wogóle droższe narzędzia; stowarzyszenia spożywcze zakupywały dla swych członków produkty spożywcze. Były też w jego projekcie wspólne magazyny, w których stowarzyszeni rzemieślnicy i robotnicy mogli sprzedawać swoje wyroby. Koroną jednak wszystkich tych planów, mających zbawić klasę pracującą i zaprowadzić raj na ziemi, miały być stowarzyszenia wytwórcze, w których fabrykacya i sprzedaż

wyrobów odbywałyby się na rachunek stowarzyszonych robotników.

W tych stowarzyszeniach wytwórczych Szulce-Delicz wielkie pokładał nadzieje. Miały one uczynić należących do nich robotników przedsiębiorcami i zapewnić dobrobyt nietylko im samym, ale i tym robotnikom, którzy w dalszym ciągu pracować będą u kapitalistów. Ci bowiem w obawie, aby ich robotnicy nie porzucili i nie przeszli do stowarzyszeń, będą im musieli podwyższyć płacę i poczynić wiele innych ustępstw. Wskutek tego zmniejszą się wtedy zyski i bogactwa kapitalistów, ale za to podniesie się dobrobyt klas pracujących, i w ten sposób znikną dwie najgorsze plagi naszego przemysłu: z jednej strony nadmierne bogactwa, z drugiej nędza.

Ale do tej szczęśliwości robotnicy dojść powinni drogą samopomocy. Nie powinni oni nic żądać od państwa, albowiem pomoc państwowa byłaby dla nich poniżającą. Mają oni inny a niezawodny sposób osiągnięcia tego dobrobytu powszechnego, mianowicie oszczędność. Oszczędzając, nagromadzą w krótkim czasie kapitały, potrzebne do założenia stowarzyszeń wytwórczych i do rozpoczęcia konkurencyi z wielkimi kapitalistami.

Takiemi bzdurstwami karmiła robotników burżuazya. Do polityki się nie wtrącać, od państwa niczego nie żądać, siedzieć cicho i oszczędzać — oto, co robotnicy powinni byli czynić, aby uszczęśliwić siebie i świat cały. Łatwo teraz zrozumiemy, dlaczego tak wychwalano i pod niebiosa wynoszono Szulcego, owego mędrca, który wynalazł tak cudowny sposób zbawienia ludzkości za drobne oszczędności robotnicze.

Ze wszystkich pomysłów Szulcego-Delicza rozpowszechniły się tylko kasy pożyczkowe i stowarzyszenia do zakupu materyałów surowych, i to prawie wyłącznie wśród majsterków w tych gałęziach produkcyi, których wielki przemysł jeszcze nie opanował. Bardzo mało powstało stowarzyszeń spożywczych, stowarzyszenia zaś wytwórcze, na które najwięcej liczono, pozostały w dziedzinie projektów. Wszystko to przyniosło niejaką korzyść majsterkom, robotnicy zaś fabryczni nie mieli z tego absolutnie nic. Pomimo to poglądy Szulcego znajdowały wśród robotników, ogłupianych i prowadzonych na pasku przez burżuazyę, dość licznych zwolenników.

Około roku 1862 jednakże dało się zauważyć pośród robotników pewne niezadowolenie z kierownictwa burżuazyi. Niezadowolenie to początkowo obejmowało grupy robotników w Lipsku i Berlinie. Jednocześnie wielu robotników zaczęło wątpić, czy rzeczywiście proponowane przez Szulcego stowarzyszenia mogą w czemkolwiek pomódz proletaryatowi. Chcieli oni więcej samodzielności, więcej wpływu, niż im dawała liberalna burżuazya, a nadewszystko żądali powszechnego prawa wyborczego. O zerwaniu z burżuazyą tymczasem jeszcze nikt nie myślał. Celem omówienia i porozumienia się w tych sprawach robotnicy lipscy postanowili zwołać kongres robotników niemieckich i wykonanie tej uchwały włożyli na specyalnie w tym celu wybrany komitet centralny. Członkowie komitetu zwrócili się do wybitniejszych przedstawicieli burżuazyi liberalnej; wkrótce jednak przekonali się, że ci o żadnych ustępstwach a szczególniej o głosowaniu powszechnem, nawet

słyszeć nie chcą. Wobec tego przedstawiciele robotników zaniechali dalszych rokowań z politykami burżuazyjnymi i zwrócili się do kilku znanych osobistości, a między innymi i do Lassalla, któremu jego krytyka polityki burżuazyjnej i odczyt o programie robotników zjednały rozgłos w świecie robotniczym. W liście, wystosowanym do Lassalla 11 lutego 1863 roku, komitet centralny prosi go, aby zechciał wypowiedzieć swój pogląd na ruch robotniczy oraz na środki, jakimi ruch ten posługiwać się powinien, a zwłaszcza na to, jakie znaczenie mieć mogą stowarzyszenia dla klasy wydziedziczonej. W odpowiedzi na to wezwanie Lassalle już 1 marca ogłosił słynny swój „List otwarty do centralnego komitetu w sprawie zwołania wszechniemieckiego robotniczego kongresu w Lipsku“.

W liście tym Lassalle energicznie występuje przeciwko twierdzeniu, jakoby robotników polityka wcale nie powinna była obchodzić. Przeciwnie, tylko od wolności politycznej robotnicy oczekiwać mogą zaspokojenia swych sprawiedliwych żądań. Powinni oni wyzwolić się z pod opieki liberalnej burżuazyi i zorganizować się w partyę niezależną. Pierwszem ich żądaniem powinno być powszechne prawo wyborcze. Stowarzyszenia oparte na samopomocy w niczem robotnikom pomódz nie mogą. Nad robotnikami wisi bowiem nieubłagane prawo żelazne, według którego przeciętna płaca robocza wynosi tylko tyle, ile potrzeba do utrzymania przy życiu robotników i ich potomstwa. Gdy płaca podniesie się po nad ten poziom, tedy poprawa bytu wywołuje zwiększenie ilości małżeństw, wzrost liczebny proletaryatu, a zarazem i zwiększoną podaż rąk roboczych, wskutek czego płaca robocza znowu spada. Gdy zaś płaca robocza spada poniżej poziomu przeciętnego, wtedy zwiększona śmiertelność oraz mniejsza liczba zawieranych małżeństw i urodzeń przerzedza szeregi proletaryatu, zmniejsza konkurencyę pomiędzy robotnikami, dzięki czemu płaca robocza znowu się podnosi. Położenie klasy robotniczej wtedy tylko może się poprawić, gdy do robotnika należeć będzie wytwór jego pracy, gdy klasa robotnicza stanie się własnym swym przedsiębiorcą. To jednak nie da się osiągnąć stowarzyszeniami, opartemi na samopomocy. Do wielkich celów tylko wielkie środki zaprowadzić nas mogą. To też stowarzyszenia wytwórcze powinny być założone przy pomocy państwa, które na ten cel dostarczyć powinno kapitałów lub kredytu. Ale państwo uczyni to tylko wtedy, gdy przedstawiciele narodu wybierani będą przez głosowanie powszechne. Stąd też najważniejszą, najpierwszą rzeczą dla proletaryatu jest zdobycie powszechnego prawa wyborczego.

Jak widzimy więc, program Lassalla polegał na założeniu osobnej, niezależnej od burżuazyi, partyi robotniczej, która miała dążyć do wywalczenia powszechnego prawa wyborczego, aby następnie przy pomocy państwa zorganizować stowarzyszenia wytwórcze.

Program ten przez komitet centralny przyjęty został z zapałem. Zarazem komitet zaniechał zamiaru zwołania kongresu robotniczego. Na wielkiem zgromadzeniu ludowem, odbytem w Lipsku 24 marca 1863 roku, komitet złożył swój urząd i jednocześnie większość jego członków zaproponowała zgromadzonym wybór nowego komitetu, któ-

ryby się zajął zorganizowaniem wielkiego związku robotniczego w myśl programu Lassalla. Projekt ten został przyjęty większością 1350 głosów przeciwko 2, i nowy komitet wybrany.

Zanim jednak nowy komitet spełnił swe zadanie, trzeba było pokonać wiele trudności i niejedną przeszkodę z drogi usunąć; trzeba było nietylko odeprzeć napaści burżuazyi, ale także przezwyciężyć nieufność samych robotników.

Wśród postępowej burżuazyi wystąpienie Lassalla wywołało prawdziwą burzę. I nic dziwnego. Jej, która uważała się sama i była uważana za obrończynię wolności i praw ludu pracującego, śmiałek jakiś odważył się zarzucić, że ona lud ten zdradza, a myśli tylko o własnych interesach! A przytem nie należy zapominać, że burżuazya znajdowała się wtedy w walce z wstecznym rządem i że odstąpienie jej przez proletaryat w takiej właśnie chwili musiało osłabić jej siły. To też z obozu burżuazyjnego posypały się na Lassalla napaści, jedna nędzniejsza od drugiej. Gdy jedni nazywali go nieświadomem narzędziem w rękach rządu, inni wprost oświadczali, że jest on na usługach rządu. W robotniczych stowarzyszeniach kształcących postępowcy burżuazyjni starali się zdyskredytować Lassalla, ośmieszali go, przekręcali jego zdania, opowiadali o nim niestworzone rzeczy. Szulce-Delicz wystąpił przeciwko Lassallowi z szeregiem odczytów. Ten sam Szulce, który niedawno jeszcze mówił o złych następstwach produkcyi kapitalistycznej i wskazywał środki zaradcze przeciwko nim, obecnie stał się bezwzględnym chwalcą kapitalizmu, tego najlepszego ze wszystkich możliwych ustrojów, zaczął głosić, że zysk kapitalisty właściwie nie istnieje i t. d. i t. d.

Na wszystkie napaści i zarzuty postępowców Lassalle odpowiedział na wielkiem zgromadzeniu, odbytem w Lipsku 16 kwietnia. Wyjątkami z dzieł ekonomistów burżuazyjnych wykazał, jak przeciwnicy jego przekręcali fakty, które nawet nauka burżuazyjna uznała za niezbite. Oświadczył, że jeżeli napada na postępowców burżuazyjnych, to dlatego, że ci wykazali zupełne niedołęstwo w walce z rządem i że pragnie zmusić ich do bardziej stanowczego wystąpienia przeciwko rządowi. Zgromadzenie większością 1.300 głosów przeciwko 7 wypowiedziało się na korzyść Lassalla.

Natomiast nie powiodło się Lassallowi w Berlinie. Tu postępowcy mieli wielki wpływ na robotników i potrafili ich wrogo usposobić dla nowego ruchu. Dnia 19 kwietnia zwołali oni wiec robotniczy, na którym jeden z mówców między innemi powiedział, że Lassalle zamieszany jest w sprawę zamordowania i ograbienia pewnej kobiety. Do takich środków uciekali się przeciwnicy Lassalla! Gdy jeden z obecnych chciał przemówić w obronie nie programu, lecz osobistej uczciwości Lassalla, został zakrzyczany i zmuszony do milczenia. Wiec, ma się rozumieć, uchwalił rezolucyę, potępiającą Lassalla.

Tego samego dnia w Rödelheimie, w zachodnich Niemczech, odbywał się zjazd przedstawicieli robotniczych stowarzyszeń kształcących. Jakkolwiek wiele z tych stowarzyszeń pod wpływem postępowców wypowiedziało się już przeciw Lassallowi, to jednak postępowcy

widzieli w zjeździe nową doskonałą sposobność wystąpienia przeciwko Lassallowi. Sądzili oni, i słusznie, że oświadczenie zjazdu, w którym uczestniczyło około 200 delegatów stowarzyszeń robotniczych, będzie miało wielką powagę w oczach całego proletaryatu niemieckiego. Tym razem jednak komedya się nie udała. Delegaci nie chcieli dać się za nos wodzić postępowcom i zadecydowali, że przed wydaniem sądu o Lassallu należy jego samego wysłuchać. W tym celu zaprosili Lassalla i Szulcego-Delicza na wiec robotniczy do Frankfurtu nad Menem.

Szulce zaproszenia nie przyjął pod pozorem braku czasu. Przeciwnie, Lassalle postanowił skorzystać ze sposobności, aby przekonać robotników o słuszności swego programu i wykazać złą wiarę swych przeciwników.

Pamiętny ten wiec odbył się 17 maja. Przeciwnicy zawczasu urządzili wszystko tak, aby Lassallowi zgotować porażkę. Na salę wpuszczano tylko członków stowarzyszeń kształcących, a więc ludzi, których postępowcy uważali za swoich. Inni robotnicy wpuszczani byli tylko na galeryę, za opłatą i bez prawa głosu. Nadto 15 mówców postępowych zawczasu zapisało się do głosu, aby, jak tylko Lassalle swą mowę skończy, natychmiast nań natrzeć. Położenie Lassalla w tych warunkach, wobec wrogiej publiczności, nie należało do łatwych. Ale Lassalle nie należał do tych, którzy zrażają się trudnościami. W wielkiej czterogodzinnej mowie wykazał on dwulicowość swych przeciwników oraz całą nicość ich argumentacyi.

W miarę jak Lassalle mówił i coraz bardziej porywał słuchaczy, rosła obawa jego przeciwników, aby zwycięstwo nie przechyliło się na jego stronę. Wywołali więc tumult, skutkiem czego Lassalle mowę swą przerwał i dalszy ciąg obrad odłożony został do 19 maja. Mimo wszystkie wysiłki postępowcy zostali na tem następnem zebraniu ostatecznie przez Lassalla pobici. Z obecnych na zebraniu robotników 400 wypowiedziało się za Lassallem a tylko 40 przeciw. Tak więc postępowcy sami wpadli w dołki, które pod nim kopali.

Nazajutrz po tem walnem zwycięstwie Lassalle przemawiał wobec 700 robotników w Moguncyi. Całe to zgromadzenie jednogłośnie się za nim oświadczyło.

Stąd Lassalle pośpieszył do Lipska, gdzie 23 maja 1863 roku na zgromadzeniu publicznem w obecności 600 robotników, założony został ostatecznie „Powszechny Niemiecki Związek Robotniczy“. Ustawa Związku została uprzednio uchwalona na poufnych naradach, w których uczestniczyli przedstawiciele 11 miast.

Według ustawy tej na czele Związku stać mieli prezydent i zarząd złożony z 24 członków. Zarówno prezydent, jak członkowie zarządu mieli być wybierani corocznie przez zgromadzenie ogólne Związku Tylko pierwszy prezydent piastować miał swój urząd przez lat pięć. Ustawa nadawała prezydentowi bardzo rozległą władzę w sprawach organizacyi. Faktycznie wszystkie ważniejsze sprawy skupiały się w jego rękach, gdyż zarząd, składający się z członków zamieszkałych w różnych miastach, z konieczności nie mógł działać szybko i jednolicie. Pierwszym prezydentem obrany został Lassalle.

Po zorganizowaniu Związku Lassalle i niektórzy energiczniejsi członkowie zarządu rozwinęli gorączkową działalność w celu zjednania dla młodej organizacyi jaknajliczniejszego zastępu zwolenników. Lassalle zwracał się nietylko do robotników. Starał się on pozyskać dla Związku wszystkie wogóle osobistości, które znane były ze swych sympatyi dla sprawy robotniczej. Rozumiał on, że ruch wtedy tylko mieć może jakieś znaczenie, jeżeli się stanie ruchem masowym.

Ale do tego było wówczas bardzo daleko. Ogół robotników niemieckich zbyt nisko jeszcze stał w owych czasach, aby rzucone przez Lassalla hasło samodzielnej polityki robotniczej mogło odrazu stać się popularnem; a z drugiej strony zbyt potężną była wtedy partya postępowa, aby miała zaraz ustąpić z pola. To też nic dziwnego, że Związek wzrastał bardzo wolno, tak wolno, że po trzech miesiącach istnienia liczył zaledwie 900 członków. Dla Lassalla był to bardzo przykry zawód. Zakładając Związek, marzył on, że za jego przewodem proletaryat wzniesie się na niedościgłe wyżyny i w prędkim czasie stanie się potęgą, panującą nad całem życiem społecznem; jego wulkanicznej naturze trudno było pogodzić się z tym powolnym rozwojem. We wszystkich jego listach z owej epoki brzmi ta nuta rozczarowania i zawodu.

Aby nadać ruchowi szybsze tempo, Lassalle przedsięwziął we wrześniu 1863 roku podróż agitacyjną nad Ren. Właśnie zatarg pomiędzy rządem a postępową burżuazyą doszedł wówczas swego szczytu. Rząd rozwiązał sejm i zarządził nowe wybory; aby zaś pozbawić postępowców możności oddziaływania na opinię publiczną, ówczesny pierwszy minister, Bismark, wydał rozporządzenie, ograniczające wolność prasy. To nowe pogwałcenie konstytucyi wywołało w całym kraju powszechne oburzenie. Prasa postępowa musiała jednak milczeć, gdyż pisma, otwarcie napadające na rząd, narażały się na zamknięcie, czego kapitaliści, którzy wydawali je dla zysku, oczywiście nie mogli sobie życzyć.

W mowie, wygłoszonej w kilku miastach nadreńskich, Lassalle poddał ostrej krytyce tchórzliwe zachowywanie się burżuazyi wobec gwałtów rządowych. Przyznać trzeba, że krytyka jego, zwracająca się głównie przeciwko burżuazyi, a pozostawiająca na stronie rząd, była jednostronna i niewłaściwa. Nic dziwnego, że postępowców wprawiło to w wściekłość. Zjawiali się tłumnie na zgromadzeniach, wszczynali hałasy i usiłowali nie dopuszczać Lassalla do słowa. Na jednem z takich zgromadzeń, w Solingen, zniecierpliwieni robotnicy rzucili się na hałasujących postępowców, wypchnęli ich za drzwi, a niektórych nawet pokaleczyli. Zapał robotników nadreńskich i wściekłość burżuazyi były najlepszym dowodem, że agitacya Lassalla trafiła tam na podatny grunt.

Najgorzej rzeczy stały w Berlinie, gdzie liczba zwolenników Związku była bardzo drobna. Berlin był najsilniejszą pozycyą postępowców, ale Lassalle mimo to spodziewał się ją zdobyć. Działalność swą w Berlinie rozpoczął od wydania w październiku 1863 roku „Odezwy do robotników berlińskich". Wkrótce jednak przekonał się, że o zdobyciu Berlina na razie nawet mowy być nie może. Postępowcy nie przebie

rali w środkach, byle tylko zmusić znienawidzonego przeciwnika do ustąpienia. Na poufne zebrania, urządzane przez Lassalla, wdzierali się podstępem lub przemocą i hałasem usiłowali je zrywać. Wreszcie Lassalle zdecydował się zwołać publiczne zgromadzenie. Lecz zaledwie zgromadzenie się rozpoczęło, gdy na sali zjawili się policyanci i aresztowali Lassalla za zbrodnię, której jakoby się dopuścił w swej odezwie do robotników. Obecni na sali postępowcy odpowiedzieli na to hucznymi oklaskami. Kilka jeszcze zebrań urządził Lassalle w Berlinie, lecz bez powodzenia.

Do rozpowszechnienia poglądów Lassalla bardzo się przyczynił rząd pruski, wytaczając mu mnóstwo procesów. Prawie za każdą mowę Lassalle odpowiadać musiał przed sądem. Korzystał on z tego, aby w sądzie wygłaszać mowy agitacyjne, które potem ogłaszał drukiem. Lecz za te obrony sądowe wytaczano mu nowe procesy. Za obronę, wygłoszoną w procesie o „Program robotników“, Lassalle skazany został na miesiąc więzienia. W procesie z powodu odezwy berlińskiej został uniewinniony, chociaż prokurator domagał się 3 lat ciężkiego więzienia. Ale wnet wytoczono mu dwa nowe procesy, z których jeden za wygłoszoną w sądzie obronę. Wreszcie mowa, miana podczas nadreńskiej podróży agitacyjnej, ściągnęła nań nowy proces, który zakończył się skazaniem go na półroczne więzienie i jeszcze jednym procesem za wygłoszoną w sądzie obronę.

Wśród tych wszystkich procesów, wśród działalności agitatorskiej i pracy nad rozwojem Związku Lassalle znalazł jeszcze czas na napisanie dzieła pod tytułem „Kapitał i praca“. Dzieło to należy do najlepszych utworów Lassalla. W sposób bardzo cięty i zjadliwy rozprawia się on w niem z Szulcem, wykazując, jakie to banialuki ten „król w dziedzinie społecznej“ plótł robotnikom. Aby zrozmieć, jaką doniosłość posiadała ta druzgocząca krytyka nauk Szulcego, należy pamiętać, że Szulce był teoretykiem ówczesnej burżuazyi i że porażka Szulcego była zarazem porażką burżuazyi.

Jednym z zarzutów, które postępowcy najczęściej wytaczali przeciw Lassallowi, był zarzut, że swą działalnością służy on interesom wstecznego rządu, z którym burżuazya była wówczas na stopie wojennej. Postępowcy nazywali nawet Lassalla wprost narzędziem w rękach rządu. Że wyodrębnienie się robotników w osobną partyę i wyzwolenie z pod skrzydeł opiekuńczych burżuazyi musiało osłabić burżuazyę a wzmocnić stanowisko rządu, to nie ulega wątpliwości. Jeżeli jednak robotnicy nie szli z burżuazyą ręka w rękę przeciwko rządowi, to winien temu nikt inny, jak sama burżuazya, która usiłowała trzymać robotników w zupełnej od siebie zależności i nawet słyszeć nie chciała o popieraniu ich słusznych żądań. Pierwszą i najważniejszą potrzebą robotników było zdobycie powszechnego prawa wyborczego, a z niem i wpływów politycznych, a temu burżuazya najenergiczniej się sprzeciwiała. W tych warunkach nie pozostawało robotnikom nic innego, jak zerwać z burżuazyą i pójść własną drogą.

Niedorzecznym był również zarzut, jakoby Lassalle był narzędziem w rękach rządu. Był on zbyt mądrym na to, aby dać się ko-

mukolwiek użyć za narzędzie. Natomiast faktem jest, że to Lassalle chciał użyć rządu za narzędzie do urzeczywistnienia swych planów. Wiadomo, że w końcu 1863-go czy na początku 1864 go roku Lassalle odbył kilka narad z Bismarkiem, ówczesnym pierwszym ministrem pruskim. Co było przedmiotem tych narad, dokładnie niewiadomo. Prawdopodobnie Lassalle przekonywał Bismarka o konieczności zaprowadzenia głosowania powszechnego i udzielenia kredytu państwowego na założenie stowarzyszeń wytwórczych. Być może, że Bismark nosił się już wówczas z zamiarem zaprowadzenia głosowania powszechnego. Przypuszczenie to tem jest prawdopodobniejsze, że właśnie w owym czasie Lassalle w obronie sądowej uroczyście oświadczył, że być może rok nie minie, a powszechne prawo wyborcze zostanie przez rząd wprowadzone.

Narady te do niczego jednak nie doprowadziły i wkrótce się urwały. Niejednokrotnie potem słusznie potępiano ten krok Lassalla. Istotnie, dziwić się trzeba, że Lassalle mógł się spodziewać czegoś dobrego dla ruchu robotniczego po takim wrogu wszelkich dążeń wolnościowych, jakim był rząd bismarkowski. Niecierpliwił go zbyt powolny rozwój ruchu; sądził, że rokowania z rządem prędzej go do celu doprowadzą, że rząd, toczący trudną walkę z partyą postępową, będzie skorym do ustępstw — wszystko to do pewnego stopnia tłómaczy Lassalla. Pomimo to jednak szukanie zbliżenia z rządem było ciężkim błędem z jego strony. Gdyby zbliżenie to doszło do skutku, to, przy ówczesnej swej młodzieńczości i niedojrzałości, ruch robotniczy mógłby zejść na fałszywe tory.

Na wiosnę 1864 roku Lassalle znowu przedsięwziął podróż agitacyjną do miast nadreńskich. Była to prawdziwa podróż tryumfalna. Na dworcach kolejowych tłumy robotników i robotnic witały go z nieopisanym zapałem i odprowadzały go w uroczystej procesyi, z chorągwiami i wieńcami. Na każdym kroku odbierał dowody wielkiej czci i miłości. Wszyscy cisnęli się doń, by go dotknąć, by uścisnąć jego dłoń. Były to najpiękniejsze dni w życiu Lassalla, który widział, że jego praca nie poszła na marne. To też w mowie, wygłoszonej w Ronsdorfie na obchodzie pierwszej rocznicy założenia Związku, mógł z zupełnie usprawiedliwioną dumą mówić o wpływie, jaki młoda ta organizacya zdobyła już sobie w życiu politycznem kraju. Związek liczył wówczas blisko pięć tysięcy członków, ale wpływem swym sięgał daleko poza swe szeregi. Olbrzymie zastępy proletaryatu niemieckiego zostały wreszcie zbudzone do życia samodzielnego.

Niestety, to młode życie, pełne sił i energii, wkrótce miało się skończyć. W trzy miesiące później, 31 sierpnia 1864 roku, Lassalle zginął, śmiertelnie raniony w pojedynku z pewnym rumunem. Powodem pojedynku była miłość ku pannie, która owemu rumunowi poprzednio już rękę swą przyrzekła.

Zasługi Lassalla w dziejach ruchu robotniczego są olbrzymie. Wprawdzie krytyka późniejsza wykazała błędy jego programu, wprawdzie dziś robotnicy mają szersze cele, niż stowarzyszenia wytwórcze z kredytem państwowym, a prawu żelaznemu, na które powoływał się

Lassalle, rzeczywistość zadała kłam. Ale Lassalle był pierwszym, który robotników zorganizował w osobną partyę, prowadzącą swą własną, samodzielną politykę, zgodną z klasowymi interesami proletaryatu, a swemi dziełami, czytanemi na całym świecie, nawrócił setki tysięcy robotników na socyalizm. To też pamięć jego czczona jest wszędzie, gdzie proletaryat toczy walkę o lepszą przyszłość.

E. P.

Królestwo kongresowe

(1815—1830)

Napoleon, opuszczony przez burżuazyę francuską, zdradzony przez swych jenerałów, uległ przemocy: zrzekł się korony, musiał opuścić Francyę i zamieszkać na wyspie Elbie, którą mu oddano w dożywotnie posiadanie. Działo się to w 1814 r. W ten sposób Anglia, Rosya, Austrya i Prusy po długoletniej walce pokonały Francyę, pozbyły się niebezpiecznego przeciwnika; teraz chodziło o to, by na przyszłość zapewnić pokój. W tym celu zwołano do Wiednia kongres czyli zjazd, na który przybyli monarchowie państw europejskich wraz ze swymi ministrami. Kongres wiedeński miał dwa zadania: 1) uniemożebnić na przyszłość rewolucye, 2) tak określić granice państw, żeby żadne nie mogło ujarzmić innych. Zobaczmy, jak te zadania zostały wykonane.

Zacznijmy od pierwszego, — od walki z rewolucyami, mogącemi nastąpić. Wszyscy uczestnicy kongresu mieli przed oczami świeży przykład wielkiej francuskiej rewolucyi, która skazała na śmierć króla i jego rodzinę, obaliła panowanie szlachty i duchowieństwa, zniosła wszystkie ich dawne przywileje. Wielka rewolucya wstrząsnęła całą starą Europą, odbiła się głośnem echem we wszystkich krajach, budząc wśród uciśnionych nadzieje na lepszą przyszłość, budząc chęć obalenia despotycznych rządów. Rewolucya zachwiała tronami w całej Europie; rządy despotyczne nie mogły pozostać obojętnymi na to; rozpoczął się więc szereg wojen, które trwały prawie nieprzerwanie przez lat 12. Wszystkie wysiłki despotów były daremne: rząd rewolucyjny powołał cały lud francuski do broni, a lud ten rozumiał dobrze, że obce mocarstwa chcą mu wydrzeć prawa, które sobie świeżo zdobył, że chcą mu narzucić dawną niewolę polityczną, dawny ucisk ekonomiczny. Walczył ten lud francuski z zapałem, bił się do upadłego o swe prawa i wszędzie zwyciężył o wiele liczniejszych nieprzyjaciół, a gdziekolwiek armie rewolucyjne wkraczały na obcą ziemię, tam natychmiast znosiły despotyczne rządy, znosiły pańszczyznę i polityczne przywileje szlachty, zaprowadzały rządy republikańskie i ogłaszały równość wszy-

stkich wobec prawa. Później, gdy burżuazya francuska, z obawy przed ludem, dążyć zaczęła sama do poskromienia rewolucyi, gdy dzięki poparciu burżuazyi Napoleonowi udało się obalić rząd republikański i stać się cesarzem, — wojny przybrały inny charakter. Nie były to już wprawdzie dawne walki ludu francuskiego o wolność wszystkich europejskich ludów, ale w każdym razie podkopywały one stary porządek rzeczy, bo w każdym podbitym kraju znoszono przywileje szlachty i klasie mieszczańskiej dawano możność rozwinięcia się.

Nic więc dziwnego, że kongres wiedeński chciał się na przyszłość zabezpieczyć przed widmem rewolucyi. W tym celu monarchowie europejscy zawarli pomiędzy sobą sojusz, zwany „Świętem Przymierzem", na podstawie którego zobowiązali się pomagać sobie nawzajem w tłumieniu mogących wybuchnąć rewolucyi. I odtąd przez kilkanaście lat, gdziekolwiek następował wybuch rewolucyjny, natychmiast wojska innych państw śpieszyły na pomoc zagrożonemu monarsze. Ale to była jedna tylko strona tej walki z rewolucyjnemi dążnościami. Druga, nie mniej ważna, polegała na tem, żeby samą myśl rewolucyjną stłumić w zarodku. W tym celu starano się utrzymać wszędzie rządy despotyczne, bo jak mówiono — swoboda demoralizuje naród; gdzie zaś niepodobna było odebrać konstytucyę — jak np. we Francyi — tam starano się o to, żeby parlament był jak najbardziej reakcyjny, żeby składał się wyłącznie ze szlachty i duchowieństwa i był posłusznem narzędziem w rękach rządu. Czując jednak, że wszystkie te środki na nic się nie przydadzą, jeżeli lud będzie uświadomiony, starano się do jego uświadomienia nie dopuścić. W tym celu rozwijano w nim fanatyzm religijny, nie dawano mu oświaty, nie zakładano szkół ludowych, a zarazem z wyższych zakładów naukowych, z uniwersytetów, wydalano profesorów znanych ze swych wolnomyślnych poglądów, książki zaś i pisma poddawano cenzurze. Cały ten okres w historyi Europy nazywa się okresem „restauracyi", t. j. „odbudowania" tego, co wielka rewolucya francuska zburzyła. Oczywiście, że taki stan nie mógł trwać długo, że lud musiał prędzej czy później powstać przeciw niemu z bronią w ręku, co też nastąpiło w 1830 i 1848 r. Zatrzymaliśmy się dłużej nad tą sprawą, bo ten system „wychowywania" ludu wprowadzono i u nas, jak to później zobaczymy, a zarazem chcieliśmy na tym przykładzie pokazać, jak wszystkie rządy reakcyjne starają się zawsze wspólnemi siłami zwalczać rewolucye. Ale idźmy dalej.

Drugie zadanie kongresu, jak mówiliśmy, było następujące: nie pozwolić żadnemu państwu wzrosnąć do takiej potęgi, żeby to zagrażało całości innych państw. Jeżeli przy pierwszem zadaniu wszystkie państwa były w zgodzie ze sobą (jedna tylko Anglia nie przystąpiła do „Świętego Przymierza"), to teraz kłótnie, a może i wojna, były nieuniknione. Car, który przeważnie dopomógł do zwalczenia Napoleona, chciał skorzystać z tej swej chwilowej przewagi, z tego, że Rosyę uważano za silniejszą, niż ona w rzeczywistości była. Chciał on zagarnąć nie mniej i nie więcej, jak tylko całą dawną Polskę, a więc Galicyę i Księstwo Warszawskie. Ta chciwość carskiego rządu była

nadzwyczaj niebezpieczną dla Europy. Oczywista rzecz, że gdyby projekt ten połączenia Polski z Rosyą doszedł do skutku, Polska musiałaby otrzymać konstytucyę i dość obszerną autonomię, t. j. administracyę mniej lub więcej niezależną od petersburskiego rządu. Tego rodzaju swobody polityczne zupełnie wystarczały szlachcie, tem bardzej, że konstytucya nie mogła być zbyt liberalną, a wszelki jawny ruch ludowy — gdyby się objawił — byłby niechybnie zdławiony przy pomocy Rosyi. Rzecz jasna również, że gdyby udało się nawet ludowi wymódz na szlachcie pewne ustępstwa — np. bardziej postępową konstytucyę, zapewniającą mu udział w rządzie — to Rosya ze wszystkich sił opierała by się temu. Ludzie, kierujący wówczas polityką europejską, zdawali sobie z tego sprawę, wiedzieli, że szlachta byłaby ugodową, że gotowa byłaby popierać nawet zaborcze tendencye Rosyi, a carat mógłby być obalony tylko potęgą ludu polskiego, tymczasem ruch ludowy w tych warunkach nie prędko by powstał i rozwinął się. Sami zresztą monarchowie obawiali się tego ruchu, tej rewolucyi, bo łatwo mogła się ona przenieść na ich posiadłości, woleli więc nie dopuszczać do ostateczności i odrazu położyć tamę chciwości Rosyi. W tym celu trzy państwa — Francya, Anglia i Austrya — zawarły potajemnie traktat, wymierzony przeciwko Rosyi. Chciały one stworzyć niepodległą Polskę — mniej może rozległą od Polski przedrozbiorowej — któraby zasłaniała Europę od drapieżności Rosyi; w ostateczności byłyby się prawdopodobnie zgodziły na taki podział Polski, jaki istniał już przed powstaniem Ks. Warszawskiego. Czuł Aleksander, że sprzymierzonym wojskom trzech państw nie sprosta, chciał więc na swoją stronę przeciągnąć polaków, żeby przy ich pomocy zdobyć dla siebie cały obszar dawnej Polski. Dzielnie dopomagała mu w tem szlachta polska. Przy boku Aleksandra znajdował się w Wiedniu Adam Czartoryski, i on to głównie kierował całą intrygą. Za inicyatywą jego i kilku innych osób urządzano w Ks. Warszawskiem, zajętem podówczas przez rosyjskie wojska, festyny dla uczczenia Aleksandra, „przyjaciela polaków“, „dobroczyńcy Polski“ — tak tytułowała go szlachta. Na tysiącznych zebraniach wyrażała szlachta swą miłość dla cara, swą wdzięczność dla niego za okazane Polsce „dobrodziejstwa“. Cała ta komedya, zręcznie urządzona przez cara i zdrajców, miała zastraszyć Europę, pokazać jej, że Polska stanie zawsze po stronie Rosyi. Zarazem brat cara, Konstanty, wydał odezwę do „narodu polskiego“, w której powiada : „Odzywa się do was najjaśniejszy cesarz Aleksander, potężny wasz opiekun. Zbierajcie się wokoło waszych sztandarów, uzbrójcie wasze dłonie na obronę waszej ojczyzny i dla utrzymania politycznego bytu. W czasie, gdy ów wielki monarcha przygotowuje szczęśliwą przyszłość waszemu krajowi, bądźcie gotowi do poparcia jego zamiarów kosztem krwi waszej“. A dalej tak mówi : „Poświęcenie bez granic dla cesarza, pragnącego tylko dobra waszej ojczyzny, miłość ku jego dostojnej osobie, posłuszeństwo, karność i zgoda — oto są środki zapewnienia pomyślności waszej ojczyżnie“. — Trudno o większą bezczelność!

Sprzymierzone mocarstwa nie dały się zastraszyć, i kto wie, jaki byłby koniec tego sporu, gdy naraz kongres wiedeński dowiaduje się, że Napoleon opuścił potajemnie wyspę Elbę i wylądował we Francyi, że wojsko francuskie przeszło na jego stronę, a sam on dąży do Paryża, stolicy Francyi, wszędzie z entuzyazmem witany przez lud. Było to nowe i wielkie niebezpieczeństwo dla rządów despotycznych, dla całego starego porządku w Europie. Wobec tego zwaśnione mocarstwa czemprędzej pogodziły się, poczyniły sobie wzajemne ustępstwa i podzieliły na nowo Polskę. Dla każdego z zaborów oznaczono te granice, które dotychczas istnieją, zaznaczając tylko: 1) że miasto Kraków wraz z bardzo niewielkim obwodem stanowi rzeczpospolitą, znajdującą się pod opieką trzech zaborczych państw — Austryi, Rosyi i Prus; 2) że Królestwo Polskie, utworzone z części Ks. Warszawskiego, otrzyma konstytucyę, a polakom w dwóch innych zaborach rządy zapewnią swobody narodowe. Tak się zakończyły intrygi, prowadzone na kongresie.

Przejdźmy teraz do dziejów Królestwa Polskiego, zwanego także „kongresowem", ponieważ na kongresie wiedeńskim zostało utworzone.

* * *

Historya Polski kongresowej jest historyą wykroczeń rządu przeciwko ustawie konstytucyjnej. *Mochnacki.*

Aleksander w szumnej odezwie zawiadomił polaków o postanowieniu kongresu, przyczem oczywiście wystawiał siebie jako opiekuna i dobroczyńcę narodu polskiego, który przez niego został wyrwany ze szpon chciwych sąsiadów. Zarazem ustanowił on komisyę dla wypracowania projektu konstytucyi; projekt z niewielkiemi zmianami został zatwierdzony, ale skreślił z niego car jeden ustęp, który powiadał, że Królestwo Polskie zostaje połączone z Rosyą tylko na podstawie konstytucyi (to znaczy, że gdyby car zgwałcił konstytucyę, to przez to samo zrywa związek pomiędzy Królestwem a Rosyą). Ten jeden drobny fakt mógł i powinien był otworzyć ludziom oczy, ale szlachta zbyt była ugodową, żeby się dała tem poruszyć.

Konstytucya Królestwa nie wiele różniła się od konstytucyi Ks. Warszawskiego, a nawet była w niektórych swych postanowieniach bardziej postępową. Na ten fakt zwracamy szczególną uwagę, bo — jak to później zobaczymy — polacy przy tej lepszej niby konstytucyi czuli się bardziej uciskani, aniżeli za Ks. Warszawskiego. Dowód to, że najlepsze prawo pisane wówczas tylko może być dobrem w życiu, jeżeli lud ma możność kontrolowania rządu, jeżeli ma on dość sił, żeby zmusić rząd do wykonywania prawa.

Władza wykonawcza należała do króla (który był zarazem carem rosyjskim) i do rady administracyjnej. Rada ta składała się z ministrów i innych wyższych urzędników, mianowanych przez cara. Sejm, który posiadał władzę prawodawczą, t. j. uchwalał prawa, był tak

samo, jak za Ks. Warszawskiego, organem szlachty, duchowieństwa i najbogatszej burżuazyi; lud nie brał w nim udziału i nie mógł bronić swych praw. Oprócz sejmu, który się składał z posłów obieralnych, istniał jeszcze senat, składający się z wyższych urzędników duchownych i świeckich — biskupów, wojewodów i kasztelanów. Senat nie odegrywał żadnej poważniejszej roli, bo władza jego była niewielka.

Cały kraj podzielono na 8 województw, w każdem województwie istniała tak zwana „rada obywatelska", składająca się ze szlachty i przez szlachtę wybierana; ona to załatwiała sprawy każdego poszczególnego województwa. Był to więc zarodek samorządu, który polega na tem, że sejm zajmuje się tylko sprawami, obchodzącemi całe państwo, a miasta i prowincye same się rządzą, to jest same załatwiają te sprawy, które ich tylko dotyczą.

Jak mówiliśmy, konstytucya ta była w niektórych częściach swych postępowszą od konstytucyi Ks. Warszawskiego: istniał np. samorząd, czego nie było za Księstwa; konstytucya zapewniała wolność słowa i druku, zapewniała wolność osobistą (to jest więzić można było człowieka tylko na rozkaz sądu) — czego również nie było za Księstwa. W co się te wszystkie swobody obróciły, to zaraz zobaczymy; ale w teoryi, na papierze istniały one. Natomiast pod jednym względem konstytucya Królestwa była bardzo reakcyjną: oto powiedziane w niej było, że pierwszy budżet (to jest spis podatków i rozchodów) ustanowi sam król, a dopiero gdy król uzna za potrzebne zmienić budżet, wówczas tylko sejm może się tą sprawą zająć. W ten sposób sejm nie miał najważniejszego z praw wszystkich parlamentów — nie mógł podług swej woli ustanawiać podatków i określać rozchodów. Skorzystali z tego car i ministrowie i w ciągu piętnastu lat istnienia Królestwa a n i r a z u nie pozwolili sejmowi zajmować się budżetem.

Taki był ustrój polityczny Królestwa. Co się tyczy położenia różnych klas społecznych, to pozostało ono bez zmiany. Szlachta była zawsze „czołem narodu"; mieszczaństwo, chociaż wzrosło liczebnie wskutek tego, że przemysł fabryczny i wielki handel zaczęły się u nas rozwijać, wpływu jednak wielkiego nie miało. Lud nie miał, jak widzieliśmy, żadnych praw politycznych, a ekonomiczny jego stan nie zmienił się wcale. Klepał on biedę, odrabiał pańszczyznę, a szlachta, mająca w swych rękach przynajmniej część władzy, nie myślała o polepszeniu jego doli. Co prawda, sejm 1818 r. wyraża życzenie, żeby rząd wypracował projekt zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, ale rząd tego nie zrobił, a inne sejmy nie zajmowały się już tą sprawą. Rzecz to zupełnie zrozumiała, jeżeli przypomnimy sobie ówczesny stan kraju. Szlachta była wyniszczona ciągłemi wojnami i postojem moskiewskich wojsk, chciała więc, żeby rząd uwłaszczył chłopów, to jest nadał chłopom ziemię, za którą musiałby zapłacić szlachcie albo rząd, albo chłopi. W ten sposób chciała szlachta sprzedać za dobrą cenę część swej ziemi, na którą kupców nigdzie znaleść nie mogła, bo kraj był zupełnie zrujnowany. Gdy później kraj odpoczął

po wojnie i położenie ekonomiczne szlachty polepszyło się, przestała ona żądać uwłaszczenia, bo tego już nie wymagał jej interes.

Teraz jeszcze kilka słów musimy powiedzieć o wojsku. Konstytucya zawierała postanowienie o sformowaniu wojska polskiego, nie oznaczyła jednak jego liczby. Był to sprytny wybieg, bo car mógł podług swego widzimisię zmniejszyć liczbę wojska polskiego i odebrać nam w ten sposób jeden ze sposobów walki z nim. Car zapewnił w konstytucyi, że nie użyje wojska naszego poza granicami Europy: śmieszne zapewnienie, zrobione dla otumanienia łatwowiernych, bo czyż potrzebowałby on kiedykolwiek wysyłać wojsko na Syberyę albo do Ameryki?

Naczelnym wodzem wojska polskiego został carski brat, wielki książę Konstanty. Dziwny to był typ: pół waryata, a pół zwierzęcia. Umiał on być miłym, umiał okazywać dobroć, ale najmniejsza rzecz doprowadzała go do wściekłości. Biada, jeżeli mu np. nie podobała się twarz jakiegoś żołnierza, jeżeli dojrzał jakiś guzik niezapięty! Dostawało się wówczas i żołnierzowi, i dowódzcy pułku, i oficerom. Rewolucyi bał się Konstanty jak ognia, wszelkich opozycyonistów nietylko zwalczał, ale nienawidził ich z całej duszy, znęcał się nad nimi, katował ich. Sam ograniczony do najwyższego stopnia, nie znosił oświaty. Raz np. spostrzegł oficera, czytającego jakąś książkę; wpada natychmiast w złość, łaje go i powiada: „czytanie nie jest odpowiedniem zajęciem dla oficera, ani wogóle dla porządnego człowieka; bierz przykład z twego jenerała — ten nigdy nic nie czyta“. Nie znosił również Konstanty ludzi uczciwych, starał się ich zepsuć, zrobić z nich carskich sług i donosicieli. Taki to człowiek objął władzę nietylko nad wojskiem, ale nad całym krajem.

Krajem powinien był rządzić w imieniu króla namiestnik. Spodziewano się, że namiestnikiem zostanie książę Adam Czartoryski, przyjaciel cara, który mu tyle usług oddał podczas kongresu wiedeńskiego. Ale car znał dobrze Czartoryskiego, wiedział, że jest on ugodowcem, ale zarazem człowiekiem z silnym charakterem, którym nie łatwo byłoby kierować. Wiedział on również, że Czartoryski jest ogromnie ambitnym i chciwym władzy, że jest spokrewniony z ostatnim królem polskim i z innymi panującymi, mógłby więc zapragnąć korony, skorzystać z odpowiedniej chwili, wywołać powstanie i ogłosić się królem polskim. Wolał więc Aleksander mieć innego namiestnika i znalazł go w osobie jenerała Zajączka. Zajączek był typowym karyerowiczem: za młodu rewolucyonista, stał się w późniejszych latach zajadłym konserwatystą. Zazdrosny do najwyższego stopnia, nie mógł się nigdy pogodzić z równymi sobie, ale przed wyższym zawsze się płaszczył. Zrobiono go namiestnikiem i dano książęcy tytuł, co zadowoliło jego ambicyę; odtąd miał w nim car i Konstanty powolne narzędzie. W rzeczywistości więc rządził Królestwem Konstanty. Po śmierci Zajączka car nawet wcale nowego namiestnika nie mianował. Zobaczmy teraz, jakie były te rządy moskiewskie.

Aleksander, jak widzieliśmy, nie z własnej woli utworzył Królestwo, lecz był do tego zmuszony, jak również zmuszony był nadać

mu konstytucyę. To stawiło go w bardzo drażliwej pozycyi: jego poddani, rosyanie, byli nadzwyczaj niezadowoleni z takiego obrotu rzeczy. Jedni patrzyli z niechęcią na konstytucyjne Królestwo przez swój konserwatyzm; to byli wyżsi urzędnicy moskiewscy; inni — mniej lub więcej liberalni — zazdrościli nam swobód politycznych; widząc w nas naród podbity, oburzali się na to, że my, zwyciężeni, mamy swobody, a oni, zwycięzcy, znosić muszą cierpliwie despotyzm. Jak jedni tak i drudzy dążyli do odebrania nam konstytucyi. Ale były inne, ważniejsze jeszcze względy, dla których konstytucya musiała pozostać martwą literą. Nie mogła Rosya patrzeć obojętnie na rozwój Królestwa, nie mogła mu pozwolić na rozwój samodzielny, bo to podkopaćby musiało cały ustrój moskiewskiego państwa. Gdyby sejm Królestwa wszedł na drogę reform społecznych, czy to z własnej woli, czy zmuszone do tego przez niezadowolenie ludu, przykład ten byłby zaraźliwy, musiałby się odbić na usposobieniu ludu i opozycyi w samej Rosyi, a szczególnie na Litwie. Królestwo, jak powiada jeden z historyków naszych, tak było drobne w porównaniu z Rosyą, że mogło być uważane za narośl na ciele kolosu moskiewskiego. Otóż ta narośl — powiada on — wciągała w siebie wszystko z Europy, jak gąbka, i wszystko, jak gąbka, puszczała wewnątrz kolosu". — A znów, z drugiej strony, mieliśmy szeroką autonomię, mieliśmy własne wojsko; cała administracya kraju była w ręku polaków, gdyby więc nas nie pilnowała Rosya, gdyby nie starała się ubezwładnić nas, to moglibyśmy, korzystając z odpowiedniej chwili, rozpocząć powstanie i oderwać od niej i Litwę i Ruś. To są przyczyny, dla których, jakimkolwiek byłby rząd w Rosyi — czy despotyczny czy konstytucyjny — Polska nie mogłaby mieć nigdy prawdziwej, rzetelnej autonomii, nie mogłaby dziś mieć nawet takiej autonomii, z własnym skarbem i wojskiem, jaką miała za Królestwa Kongresowego.

Wobec tego, rzecz oczywista, że rząd musiał odrazu odebrać nam konstytucyę, albo systematycznie gwałcić ją i stopniowo odbierać. Odebrać nam jej odrazu nie mógł, bo inne państwa nie omieszkałyby skorzystać z niezadowolenia polaków i postarałyby się rozbić Rosyę. Rad nie rad musiał więc obrać drugą drogę, daleko powolniej prowadzącą do celu.

W 1818 r. zwołany został pierwszy sejm Królestwa. Otworzył go Aleksander mową, w której wysławiał „dobrodziejstwa", jakiemi obsypywał polaków, obiecywał połączyć Litwę i Ruś z Królestwem, jeżeli polacy przekonają go o swych wiernopoddańczych uczuciach, a nawet wspomniał o tem, że nosi się z zamiarem nadania swobód konstytucyjnych Rosyi. Sejm wynosił pod niebiosa „wspaniałomyślnego" cara, ale swoją drogą odrzucił niektóre projekty rządowe, a w adresie do cara wykazywał potrzebę ustanowienia nowego budżetu i ułożenia praw wojskowych (samowola i brutalność Konstantego dały się już wowczas we znaki). Car na razie był dość zadowołony z brad sejmowych, ale już w kilka tygodni potem pisał do rady adminstracyjnej, że sejm nie ma prawa krytykować rozporządzeń rządu. Było to pierwsze starcie, choć jeszcze bardzo drobne, ale wkrótce na tąpiły

poważniejsze. W następnym zaraz roku publiczność warszawska wygwizdała aktorkę, którą protegowały niektóre wysokie figury rządowe; nazajutrz policya rozlepiła plakaty, zabraniające gwizdania w teatrze. Jedna z gazet warszawskich wystąpiła przeciwko temu, dowodząc, że policya nie miała prawa wydawać podobnych rozporządzeń. Konstanty złajał za to redaktora gazety, pismo zostało wkrótce zawieszone i ustanowiono cenzurę na wszystkie pisma i książki. W ten sposób zgwałcono swobodę druku, zagwarantowaną przez konstytucyę.

Następnie zabrano się bardzo gorliwie do „reformy" szkół. Ministrem oświaty był Potocki, człowiek światły i wolnomyślny, wielki wróg jezuitów; dbał on szczególnie o oświatę ludu. Potockiego usunięto, a miejsce jego zajął Grabowski, klerykał, jeden z najnikczemniejszych polaków, którzy się carowi wysługiwali. Grabowski, człowiek ograniczony, był właściwie tylko narzędziem w rękach senatora Nowosilcowa. Ciekawa to figura ten Nowosilcow. Współczesny historyk tak się o nim wyraża: „opój z temperamentu i ateusz (t. j. nie wierzący w Boga) z przekonania, złodziej, jak wszyscy urzędnicy moskiewscy, w gruncie serca człowiek najniemoralniejszy, był przecież jednym z głównych filarów propagandy religijnej. On obostrzył cenzurę, on wpływ duchowieństwa pomnażał, on śledził spiski i razem z Szaniawskim w wychowaniu upatrywał przeciwko nim lekarstwo na przyszłość". Straszną nienawiścią pałał on do wszystkiego co polskie, ale nienawiść tę umiał — gdy tego było potrzeba — ukrywać tak, że przez długi czas uważano go za „przyjaciela" polaków. Obok tych wszystkich cech, które czyniły go wstrętnym, miał jeszcze różne śmieszne strony; miał odrażająco brzydką powierzchowność, i irytowało go zawsze, że nie miał powodzenia u kobiet.

Prawą ręką Nowosilcowa był Szaniawski, zdolny literat i uczony; niegdyś — za czasów kościuszkowskiego powstania — zagorzały rewolucyonista, stał się później konserwatystą i klerykałem, nabożnym jak dewotka. Nikczemny to był charakter: podwładnych gnębił, a przed Nowosilcowem wybijał pokłony. Kiedyś dla przypodobania się p. senatorowi ułożył taki projekt reformy szkół na Litwie, że aż sam Nowosilcow się obruszył. „Panie radco — miał mu powiedzieć — byłoby zanadto już ciemno na Litwie!"

Gdy tak Konstanty z Nowosilcowem i pomocnikami jego gnębili wszelką wolniejszą myśl, wykryto pierwszy spisek. Konstanty, wbrew konstytucyi, kazał uwięzić spiskowców. Odtąd zwrócił on szczególną uwagę na organizacyę tajnej policyi, wydawał na jej utrzymanie 180.000 złp. rocznie.

Pod wrażeniem tych wypadków zebrał się sejm 1820 r. Aleksander, otwierając posiedzenie sejmu, oświadczył, że konstytucya Królestwa opiera się li tylko na zaufaniu, jakie on ma do polaków, dając tem do zrozumienia, że może ją odebrać. Część sejmu nie dała się zastraszyć i utworzyła się opozycya, zwana „partyą kaliską", której przewodniczyli dwaj bracia Niemojewscy, Wincenty i Bonawentura, posłowie województwa kaliskiego. Jeden z nich, Wincenty, w te słowa przemówił na sejmie: „konstytucya jest własnością narodu: król nie

ma prawa ani mu jej odebrać, ani nawet zmienić. Straciliśmy już wolność druku, nie mamy wolności osobistej... dzisiaj nakoniec chcą nam odebrać odpowiedzialność ministrów. Cóż nam więc pozostanie z całej konstytucyi?“ Dalej dawał do zrozumienia, że nie trzeba się łudzić, że jedynem wyjściem jest zbrojne powstanie. Była to śmiała mowa, to prawda, ale wszyscy rozumieli dobrze, że Niemojewski nie bierze na seryo tej myśli o powstaniu; rozumiał to i car i nie zląkł się wcale. Przeciwnie, wydaje on specyalną odezwę, w której wyraża swe niezadowolenie z opozycyi sejmowej; nie chcąc jednak, żeby o tem wiedziano za granicą, nie drukuje tej odezwy, lecz każe ją odczytać poufnie „obywatelom spokojnym, dobrze myślącym“. Odezwa nie poskutkowała, bo oto do rady obywatelskiej województwa kaliskiego wybierają obu Niemojewskich; gdy wybór ten unieważniono, rada obywatelska demonstracyjnie powołuje ich na zastępców radnych. Dowiedziawszy się o tem, car rozwiązuje radę kaliską aż do czasu, pókiby posłowie — jak się wyraża w ukazie — „czy to za sejmem, czy na sejmie nie dali monarsze dostatecznej rękojmi swego postępowania na przyszłość“. Poprostu więc zawieszono w jednem województwie konstytucyę i wprowadzono stan wyjątkowy.

Niedość tego; car znosi jawność obrad w sejmie, a to dlatego, że posłowie, niczem nie krępowani, nie podlegający cenzurze, mogli wygłaszać agitacyjne mowy; usunięto więc publiczność z sali obrad — znów wbrew konstytucyi. Oprócz tego usunięto bezprawnie z sejmu obu Niemojewskich, żeby obezwładnić opozycyę. Nie poprzestając na tem, zagroził car odebraniem konstytucyi pod pretekstem, że dochody Królestwa nie wystarczają na utrzymanie wojska polskiego.

Tak samo, a może nawet jeszcze brutalniej, postępował Mikołaj I-szy, następca Aleksandra.

Wszystko to zgnębiło opozycyę; szlachta stchórzyła, i oba następne sejmy pokornie przyjmowały wymówki carskie i były powolnem narzędziem w rękach rządu.

* * *

Takie było jawne życie Królestwa. Ale obok tego istniało inne, nie mniej ważne — spiskowe życie. Na ten wyraz „spiskowy“ musimy położyć szczególny nacisk, bo przed powstaniem 31 roku nie widzimy ani jednej próby stworzenia partyjnej organizacyi; wszystkie ówczesne organizacye były tylko spiskami.

Spisek i partyjna organizacya w niczem nie są do siebie podobne. Partya stoi zawsze na gruncie interesów pewnej jakiejś klasy, dąży do zmiany społecznego i politycznego ustroju w kierunku, dla tej klasy pożądanym. To jest jej celem, a środkiem jest uświadomienie tej warstwy, której interesów broni partya, i stworzenie masowego ruchu. Zupełnie inaczej ma się rzecz ze spiskiem. Spisek nie ma programu, bo nie potrzebuje go; celem jego nie jest nigdy uświadamianie, nie jest stworzenie ruchu; działalność jego jest obliczona na krótki przeciąg czasu: jest to zmowa pewnej liczby osób dla wykonania jednego jakiegoś czynu.

Stąd wypływają inne, bardzo doniosłe różnice natury praktycznej. Partyjna organizacya opiera się na świadomości mas, z niej czerpie swą siłę i dlatego zdrada, aresztowania i tym podobne wypadki mogą chwilowo osłabić organizacyę, ale musi się ona zawsze odrodzić — jeżeli, oczywiście, jej program i taktyka odpowiadają potrzebom czasu. Tymczasem spisek, w razie rozbicia, nie pozostawia po sobie żadnych śladów w szerszych kołach i dlatego nie udaje się prawie nigdy odtworzyć go na nowo; wielkie aresztowania są zawsze ciosem śmiertelnym dla spisku. Okoliczność ta jest powodem, że spisek, zagrożony rozbiciem, musi przyśpieszyć wybuch rewolucyi, a więc wywołuje ją w chwili nieodpowiedniej, jak o tem będziemy mogli nieraz się przekonać w ciągu porozbiorowej naszej historyi. Ale nawet po udatnym wybuchu, spisek — o ile ma dążności rewolucyjne nie jest w stanie wywrzeć wpływu na bieg wypadków, bo ma do czynienia z reakcyjnymi przeciwnikami, doskonale rozumiejącymi swe interesy, a na poparcie mas liczyć nie może, gdyż masy są albo zupełnie bierne, albo nieuświadomione. Niemniej ważne w praktyce jest to, że warcholstwo ambitnych jednostek, o ile jest łatwem w spisku, o tyle trudnem w partyi, bo masy, przyzwyczajone do rzetelnej roboty, nie dadzą się nigdy pociągnąć warchołom. Wszystkie te cechy charakterystyczne będziemy mieli sposobność zaobserwować.

Pierwszą spiskową organizacyę założył major Łukasiński w roku 1819. Skorzystał on z tego, że rząd tolerował stowarzyszenia wolnomularskie *), i na ich wzór stworzył „wolne mularstwo narodowe". Były w niem 4 stopnie wtajemniczenia; dopiero na czwartym stopniu dowiadywali się członkowie, że właściwym celem organizacyi jest zdobycie niepodległości. Organizacya dość szybko wzrastała, szczególnie rozwijały się „loże" w wojsku. Wkrótce przedostała się do Poznańskiego, gdzie jednak przybrała inną, bardziej jawną formę. Istniała ona bardzo krótko, bo rząd zamknął wszystkie wolnomularskie stowarzyszenia. Wobec tego trzeba było pomyśleć o znalezieniu innej formy organizacyjnej, natrafiło to jednak na wielkie trudności, gdyż znaczna część dawnych „wolnych mularzy narodowych" nie chciała ryzykować, nie mogła się odważyć na utworzenie zupełnie tajnej organizacyi. Wypadło więc całą robotę zaczynać od początku. W tym to czasie, w kwietniu 1821 r., przyjeżdżają z Poznańskiego Umiński i Prądzyński (obaj wsławili się później podczas powstania) i, porozumiawszy się z Łukasińskim, zakładają nową organizacyę pod nazwą „Towarzystwo narodowo-patryotyczne". Dla charakterystyki ówczesnych stosunków dość przytoczyć fakt, że nowo wstępujący członkowie musieli składać przysięgę, że będą zachowywali najprostsze prawidła konspiracyi, że nie będą „śpiewali" na śledztwie i t. p. Organizacya towarzystwa była następująca: najniższą jednostką organizacyjną była „gmina"

*) Stowarzyszenia te czyli „loże" miały na celu walkę z klerykalizmem i szerzenie idei wolnomyślnych. Istnienie lóż było jawne, ale skład członków tajny. Cele stowarzyszenia wyjaśniano nie wszystkim członkom, — istniały różne stopnie wtajemniczenia.

składająca się najwyżej z 16 ludzi; kilka gmin stanowiło obwód, kilka obwodów prowincyę; razem było 6 prowincyi i specyalna organizacya dla wojska. Na czele spisku stał komitet centralny; znosił się on bezpośrednio tylko z naczelnikami prowincyi, ci zaś tylko z naczelnikami obwodów i t. d. Tak było w teoryi, w rzeczywistości jednak konspiracya nie była zbyt ściśle przestrzegana, bo się jeszcze do niej nie wdrożono. Spisek ten dążył do wywołania powstania; tak samo, jak i „wolne mularstwo narodowe", nie miał on cech organizacyi demokratycznej, o zmianie ustroju społecznego (np. o uwłaszczeniu włościan) nie myślał wcale. Była to organizacya nawskroś szlachecka; nie potrafiła ona nawet poruszyć mieszczaństwa w Warszawie i Wilnie. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że w chwili założenia Towarzystwa narodowo-patryotycznego ucisk moskiewski dawał się już we znaki, to zrozumiemy szybki jego wzrost: w rok po założeniu, t. j. w 1822 r., liczyło już ono około 5.000 członków. Dodać należy, że znaczną ich część stanowiła szlachta litewska, która znajdowała się do pewnego stopnia pod wpływem organizacyi młodzieży na Litwie. Organizacye te nie miały wyraźnej barwy politycznej, ale może dlatego właśnie zdołały one poruszyć młodzież w najbardziej zapadłych nawet kątach, a przez to wywarły wpływ i na starsze pokolenie. Związki te zostały wykryte w 1823 r. przez Nowosilcowa, i młodzież uległa strasznym prześladowaniom. Śledztwo Nowosilcowa i stan umysłów w tym czasie prześlicznie opisał w III części „Dziadów" Mickiewicz, który sam w tej sprawie był więziony i wysłany do Rosyi.

Trochę wcześniej nastąpiły pierwsze aresztowania członków tow. narodowo-patryotycznego. Do organizacyi wkręcił się szpieg i wydał kilka nazwisk, jednocześnie inny członek towarzystwa, siedząc w więzieniu za zwykłe przestępstwo i chcąc uniknąć kary, zaczął „sypać". W ten sposób do rąk policyi dostał się cały komitet centralny; na ślad innych członków organizacyi policya jeszcze nie wpadła. Aresztowanych zamknął Konstanty w klasztorze karmelitów na Lesznie, który wówczas odegrywał rolę X pawilonu. Z więźniami obchodzono się w zwierzęcy sposób, chcąc na nich wymusić zeznania: nie dawano im np. przez kilka dni wody, tydzień cały lub więcej nie pozwalano zasnąć i tym podobne męczarnie wymyślano. Trzymali się oni dzielnie, Łukasiński całą winę wziął na siebie, a przeciw innym miano tylko zeznania szpiega lub zdrajcy. Dwa lata trwało śledztwo, poczem stawiono ich (znów wbrew konstytucyi) przed sądem wojennym. Konstanty zażądał, by sąd naznaczył najwyższą karę, mówiąc, że car w każdym razie ułaskawi ich. Jakoż car „w swem nieprzebranem miłosierdziu" — tak wyrażał się ukaz carski — zmniejszył karę Łukasińskiemu z 9 do 7 lat ciężkich robót, a dwom innym — z 6 do 4. Taki był pierwszy proces polityczny za czasów Królestwa.

Po uwięzieniu pierwszego komitetu powstał natychmiast nowy, w skład którego weszli oficer Krzyżanowski, Plichta i Grzymała. Wspaniała to była trójka! Krzyżanowski, umysł bardzo bystry, jednym rzutem oka umiał ogarnąć sytuacyę, w najkrytyczniejszem położeniu umiał się zawsze znaleść, ale też czasem zanadto hazardował. „Plichta

— mówi jeden ze współczesnych mu pisarzy — mimo młodego wieku swego umiarkowany jak starzec, hamował te niebaczne zapędy Krzyżanowskiego, ilekroć mogły one zadaleko unieść rzecz towarzystwa". O ile dwaj pierwsi całkowicie oddani byli polityce, o tyle znów Grzymała mało się nią zajmował: jego specyalnością była technika konspiracyjna, umiał on zawsze wynaleść błędy w organizacyi tam, gdzie inni dojrzeć ich nie mogli. Nowy komitet zwrócił przedewszystkiem uwagę na stronę konspiracyjną i zaczął w tym kierunku robić ulepszenia. Ale niebawem wszystkie jego starania zostały udaremnione przez warcholstwo. Oto jeden z naczelników prowincyi, Małachowski, nie chcąc ulegać władzy komitetu, zwołał zjazd wybitniejszych spiskowców, odkrył im nazwiska członków Komitetu Centralnego i przekonał, że tacy „nikomu nieznani" ludzie nie powinni kierować robotą. Znaczna część spiskowców buntuje się przeciwko władzy Komitetu Centralnego i ten, obawiając się rozbicia organizacyi, zgadza się na przyjęcie do Komitetu 3 nowych członków. Odtąd spisek, chociaż się ciągle rozszerzał, stracił jednak całą dawną energię, całą sprężystość w działaniu Nie długo on już zresztą istniał. Spisek rosyjski, z którym towarzystwo narodowo-patryotyczne miało stosunki, w grudniu 1825 r. zrobił nieudatną próbę wywołania w Rosyi rewolucyi; nastąpiły aresztowania, i wielu bardzo z pomiędzy uwięzionych rosyjskich spiskowców nie umiało trzymać języka za zębami; rząd wpadł na trop polskiej organizacyi, i w początkach 1826 roku klasztor karmelitów, ratusz i pałac Brylowski zapełniły się więźniami. Komisya śledcza — przeważnie z polaków złożona — za pomocą kijów potrafiła wydobyć z więźniów zeznania. Miał się rozpocząć nowy olbrzymi proces; chodziło tylko o to, kto ma sprawę tę sądzić. Nowosilcow domagał się sądu wojennego; tego samego zdania był Konstanty. Ale Nowosilcow miał śmiertelnego wroga w ministrze skarbu Lubeckim. Dość było, żeby jeden z nich powiedział „białe", drugi napewno upierał się przy „czarnem". Z Lubeckim zapoznamy się bliżej w powstaniu, teraz tyle tylko powiemy o nim, że był człowiekiem sprytnym i posiadał żelazną wolę. Postawił on też na swojem i spiskowców, zgodnie z konstytucyą, stawiono przed sądem senatu Królestwa, oskarżając ich o zbrodnię stanu. Trudno opisać wzburzenie umysłów w Warszawie: niesłychana ilość świstków, odezw, nawet broszur kursowała; publiczność nie ukrywała swych sympatyi dla więźniów, odbywały się nawet demonstracyjne zebrania. Ogólny nastrój udzielił się i sędziom: wszystkimi głosami przeciwko jednemu tylko hr. Krasińskiemu wydali oni wyrok, skazujący więźniów na 2—6 lat więzienia, a nie na śmierć, jak chciał tego car i Konstanty. Wściekłość Konstantego nie miała granic: zabronił on senatorom opuszczać Warszawę, prawie, że uwięził ich. Myślano nawet o tem, żeby senat sam oskarżyć o zbrodnię stanu, ale Lubecki potrafił tak rzecz całą przedstawić carowi, że ten ograniczył się do wyrażenia swego „najmiłościwszego" niezadowolenia senatowi.

Po aresztowaniach 1826 r. organizacya towarzystwa narodowo-patryotycznego znikła bez śladu, natomiast w grudniu 1828 r. powstał nowy spisek, nie znajdujący się w żadnym związku z towa-

rzystwem. Założycielem jego był Piotr Wysocki, instruktor w szkole podchorążych; do spisku należało trochę cywilnych, a resztę stanowili oficerowie i uczniowie szkoły. Jeżeli inne organizacye miały wiele wad, to ta posiadała jeszcze jedną, największą, jaką może mieć organizacya — brak ufności we własne siły, brak jasnego rozumienia celu i ciągłe oglądanie się na opinię ludzi, do organizacyi nie należących.

Jedną z pierwszych czynności nowej organizacyi było przygotowanie zamachu na cara. Jest to tak zwany „spisek koronacyjny“ na tle którego osnuty jest dramat Słowackiego „Kordyan“. W maju 1829 r. miała nastąpić koronacya Mikołaja I na króla polskiego. Z chwili tej umyślili skorzystać podchorążowie i podczas przeglądu wojsk na placu Saskim zabić cara, Konstantego i całą carską rodzinę. Nie był to żaden zamach „terorystyczny“, obliczony na przestraszenie rządu i zmuszenie go do ustępstw. Taki pomysł był by śmiesznym; podchorążym chodziło o co innego Zamach miał być tylko hasłem do powstania, które po zgładzeniu cara musiało być walką na życie i śmierć. Rozumieli oni, że Rosya nie będzie mogła darować takiej zniewagi, że walczyć będziemy musieli do upadłego, ale przez to samo wszelka ugodowa polityka musiałaby zniknąć. A jednocześnie chcieli skorzystać z popłochu, jaki wzniecić by musiała w Rosyi wieść o zamordowaniu cara; rząd moskiewski straciłby na razie głowę, co mogło nam ogromnie ułatwić zwycięstwo. Zamach nie doszedł do skutku, bo szlachta, przypuszczona do tajemnicy, albo wprost potępiała taki czyn, albo też obiecywała z początku swą pomoc, a w ostatniej chwili cofnęła się. Podchorążowie, nie mając wiary w swe własne siły i nie znajdując poparcia u szlachty, cofnęli się i zamiar ten spełzł na niczem. Po koronacyi zaczęto rozszerzać organizacyę i powoli przygotowywano się do powstania. Wybuch nastąpił wcześniej, niż tego sobie życzyli spiskowi. Złożyły się na to przeważnie dwie okoliczności: wypadki na zachodzie i obawa przed aresztowaniami.

W lipcu 1830 r, nastąpiła we Francyi rewolucya, która obaliła reakcyjne rządy, a prawie jednocześnie Belgia powstała przeciwko obcemu jarzmu. Wypadki te głośnem echem odbiły się u nas; w Warszawie nie tajono radości z tego powodu; wszyscy mieli jakieś niewyraźne przeczucie, że zbliża się burza. Nadeszła ona prędzej, niż się spodziewano, bo spiskowcy, widząc, że policya lada chwila wpadnie na trop organizacyi, postanowili przyśpieszyć wybuch i naznaczyli do tego dzień 29 listopada.

Zanim przejdziemy do dziejów walk powstańczych, rzućmy jeszcze raz okiem na historyę księstwa Warszaw. i Królestwa. Jak w jednym, tak i w drugim okresie czasu nie mieliśmy zupełnej niezależności, nie mogliśmy prowadzić samodzielnej polityki. Ta zależność od innego państwa, od cudzej woli krępowała nas za Księstwa, a za czasów Królestwa uczyniła konstytucyę pustym dźwiękiem. Przeczuwał to Kościuszko, gdy pisał: „przewiduję nie bez obawy, iż z czasem imię polskie pójdzie w pogardę i rosyanie wnet uważać nas będą za poddanych; bo w rzeczy samej, jakimże sposobem ludność tak mała

potrafi się usunąć z pod ich przewagi?" W tem leży jądro kwestyi; jakikolwiek byłby rząd w Rosyi, — w interesie jego leży ograniczenie naszej autonomii, naruszenie naszej konstytucyi; a oprzeć się temu można tylko siłą, t. j. przez powstanie i oderwanie się od Rosyi. Z tego jednego już widać, jak bezsen owną jest myśl o dążeniu do konstytucyi i autonomii, a nie do zupełnej niepodległości. Ale jest inny jeszcze wzgląd. Księstwo, zależnem będąc od postępowej Francyi, zyskało przynajmniej pod względem społecznym przez zniesienie poddaństwa, Królestwo zaś, połączone z barbarzyńską Rosyą, nie postąpiło ani na krok naprzód. Winna temu była oczywiście szlachta, ale winien i rząd, który nietylko, że reform nie wprowadzał, ale jeszcze rozwój Królestwa na każdym kroku tamował.

W. Piotrowski.

SOCYALIZM A SZTUKA.*)

Rozpróżniaczeni i zniewieściali kapitaliści twierdzą, że socyalizm osłabi ducha inicyatywy i chęć do pracy; brutalni despoci i ich poplecznicy zwalczają go w imię zagrożonej wolności, a rozpustnicy i cudzołóżcy w imię świętości ogniska rodzinnego. Nic więc dziwnego, że pozbawieni wszelkich idealniejszych dążeń kramarze stają w obronie sztuki i artystów przeciwko „ciemnej masie" i „nowożytnym barbarzyńcom", jak nazywają robotników. Na pociechę jednak kramarzy powiedzieć można że nawet uczeni i filozofowie, jak np. znany filozof francuski Fouillée, bardzo są niespokojni o los, jaki mógłby spotkać poetów, artystów i filozofów w ustroju socyalistycznym. Czy nie wygnano by ich czasem z krainy wolności, nie uwieńczywszy nawet laurem ich skroni? A jeżeli zostaną pozostawieni w spokoju, to czy przyszłe społeczeństwo socyalistyczne nie zechciałoby czasem zorganizować pracę filozofa, którego myśl sięga najdalszych granic bytu, a nawet je przekracza? Czyż można w drodze administracyjnej regulować pracę myśliciela? Czy można jej narzucić ośmiogodzinny dzień roboczy? Czy można nakazać poecie, aby miał natchnienie punktualnie o godzinie siódmej zrana, a odpoczywał o dziewiątej? Myśl genialnego człowieka nie da się zgóry oszacować na ruble i kopiejki. Czy naprzykład, gdy Galileusz odkrył księżyce planety Jowisz, kierownicy społeczeństwa komunistycznego mogliby przewidzieć, że odkrycie to ułatwi w przyszłości sporządzaniedokładnych map; że mapy te chronić będą okręty handlowe od grożącego im rozbicia?

Te i tym podobne myśli niepokoją filistrów, stroskanych o przyszłe losy sztuki.

*) Do sztuk pięknych zaliczamy poezyę, muzykę, malarstwo, rzeźbiarstwo budownictwo czyli architekturę.

Pozbycie się obowiązku pracy, twierdzą oni, i próżnowanie, obok swych stron ujemnych, ma też i strony dodatnie, często jest i pożyteczne, a nawet niezbędne dla społeczeństwa. Gdyby cały świat chodził w jarzmie pracy, to nie mielibyśmy idealnych marzycieli, nie mielibyśmy genialnych ludzi, jak Sokrates, Archimedes, Kopernik, Laplace, Dante, Szekspir, Mickiewicz i tylu innych. Słowem, według zdania naszych przeciwników, w społeczeństwie socyalistycznem sztuka nie mogłaby się rozwijać. W społeczeństwie tem każdy miałby to, czego mu koniecznie potrzeba, ale nikt nie miałby nadmiaru, a właśnie z nadmiaru, którym rozporządzają bogaci, żyją wszak artyści.

Gdyby społeczeństwo socyalistyczne zechciało pracę umysłową regulować w sposób administracyjny i biurokratyczny narówni z pracą fizyczną, to wszelki postęp, zarówno umysłowy, jak społeczny i ekonomiczny, byłby przez to zatamowany. Ale podobna myśl niedorzeczna żadnemu jeszcze socyaliście nie postała w głowie. Przeciwnie. Właśnie w ustroju socyalistycznym artyści i filozofowie znajdą nareszcie swobodę, której im brakło dotychczas. W społeczeństwie socyalistycznem żaden wielki dramatopisarz nie będzie zmuszony dla chleba grać w teatrzykach wędrownych, jak to czynić musiał Szekspir, żaden poeta nie będzie skazywany na wygnanie jak Dante, ani nie będzie zmuszony troszczyć się o byt powszedni jak Mickiewicz. Żaden myśliciel nie będzie więziony jak Galileusz, ani palony jak Bruno, ani otruty jak Sokrates. Żaden wreszcie wynalazca, żaden wielki człowiek nie będzie umierał w nędzy i opuszczeniu, jak to bywało dotychczas. Bo chyba nie może być dwóch zdań co do tego, że geniusz szerzej swe skrzydła rozpostrze i wyżej się wzniesie w społeczeństwie socyalistycznem, dążącem do zapewnienia swym członkom jaknajwiększej sumy szczęścia, opartem na braterstwie i zgodnem współdziałaniu, niż w dzisiejszem społeczeństwie klasowem, którego główną zasadą jest pogoń za zyskiem, walka o pieniądz.

Jeżeli mimo to wszystko sztuka kwitnie na ruinach przeszłości i teraźniejszości, to dzieje się to dzięki tej samej sile, dzięki której roślinność pojawia się w szczelinach starych, zmurszałych murów, między kamieniami bruku miejskiego i na najlichszej glebie. Pomimo jednak tej siły niepowstrzymanej twórczość artystyczna i filozoficzna wiele bardzo cierpi w obecnych nieprzyjaznych warunkach, do których przystosowywać się musi. W społeczeństwie burżuazyjnem zadowolenie estetyczne, zadowolenie, mające swe źródło w sztukach pięknych, jest zabawą, rozrywką, zbytkiem. W społeczeństwie, w którem olbrzymia większość ludzi zmuszona jest wszystkie swe siły zużywać w walce o chleb powszedni, zbytek ten oczywiście może być dostępny tylko dla znikomej mniejszości. Zą czasów Ludwika XIV był to głównie dwór, później „dystyngowane towarzystwo“ salonów arystokratycznych, obecnie zaś prawie wyłącznie klasa posiadająca, a raczej ta jej drobna cząstka, która ma jeszcze inne interesy poza wyzyskiem pracy proletaryusza. Tylko ludzie bogaci, a przynajmniej zamożni, mają dziś czas i pieniądze na uczęszczanie do bibliotek i teatrów, na nabywanie książek, obrazów, posągów i innych dzieł sztuki, w których ucieleśnia się piękno. Ten

duchowy i ekonomiczny monopol daje klasie posiadającej możność dyktowania praw i stawiania wymagań wszystkim artystom, czy to bezpośrednio, czy za pośrednictwem państwa. A artyści, nie mając innego sposobu do życia, zmuszeni są albo służyć burżuazyi albo umierać z głodu. To nam tłómaczy mierność tych artystów, którzy się poddają, i rozgoryczenie tych, którzy zachowali swą niezależność.

Wszyscy niezależni poeci i artyści czują głęboką odrazę i pogardę dla tyranii burżuazyjnej i burżuazyjnych ideałów. Ileż to wielkich dzieł sztuki, ile arcydzieł literatury ma swe źródlo w tej odrazie i pogardzie! Jedni z niezrównanem mistrzowstwem malują obłudę tego społeczeństwa wyzyskiwaczy, w którem pod powłoką szumnych frazesów ukrywa się bezduszny egoizm, chłód, brak serca i szlachetniejszych dążeń, którego bogiem jest złoty cielec. Inni ze wstrętem odwracają się od otaczającej ich rzeczywistości, szukając zapomnienia w urojonych zaświatach, lub przenoszą się w przeszłość, szukając w pierwszych wiekach chrześciaństwa tej wiary gorącej, tej siły uczucia, tej gotowości do poświęceń, których próżnobyśmy szukali wśród burżuazyi. Inni wreszcie, a liczba ich rośnie z dnia na dzień, odczuwszy budzącą się duszę mas uciśnionych, głoszą sojusz sztuki z rewolucyą i zwiastują bliskie zwycięstwo ideałów proletaryatu.

Przy całej jednak piękności i wzniosłości swych dzieł, artyści ci są tylko zwiastunami nowej sztuki, i niczem innem być nie mogą. Ażeby bowiem zakwitnąć mogła nowa sztuka, sztuka wielka i potężna jak sama ludzkość, na to potrzeba, aby ludzkość po tylu walkach zaznała wreszcie pokoju, aby po ciężkiej pracy znalazła wytchnienie, aby niesnaski i walka o zdobycz ustąpiły miejsca harmonii serc i dusz. Tylko wtedy prawdziwa sztuka zakwitnąć będzie mogła. W takich zaś czasach, jak nasze, gdy dawne życie obumiera, a nowe jeszcze nie zakwitło, powstawać mogą tylko bardzo niedoskonałe dzieła sztuki. I nic w tem dziwnego. Ci, którzy zakładają fundamenty pod gmach przyszłości, nie mają czasu na coś innego; a artyści, przemawiający do ludu, który jeszcze jęczy w jarzmie, często daremnie oczekują oddźwięku. Gdy jednak nastanie czas, kiedy dzisiejszy proletaryat prowadzić będzie życie rzeczywiście godne człowieka, kiedy wszyscy robotnicy stać będą tak wysoko, że będą mogli odczuwać i rozumieć sztukę, kiedy po pracy wszyscy rozporządzać będą wolnym czasem, wtedy, i tylko wtedy, zadowolenie estetyczne przestanie być zbytkiem garstki wybranych, a stanie się potrzebą ogółu; wtedy to, i tylko wtedy, powstawać będą dzieła prawdziwie wielkie i nieskończenie piękne. Wtedy artysta znajdować będzie szczęście w przeświadczeniu, że jest rozumiany, a lud dumny będzie z tego, że odczuł i zrozumiał wielką duszę. Jakże inaczej wyglądać będzie życie, gdy przed ludem pracującym otworzy się cały nowy świat szlachetnych wzruszeń i wzniosłych ideałów, świat piękna, które opromieni najskromniejszą nawet pracę człowieka!

Powiadają nasi przeciwnicy, że rozwój sztuki zostanie zatamowany, ponieważ w społeczeństwie socyalistycznem artyści pozbawieni zostaną pomocy, którą teraz znajdują w łasce monarchów i protekcyi możnych, że przecież żyją z tej łaski i protekcyi. Zarzut to wprost komiczny.

Burżuazya w roli protektorki artystów i filozofów coś podobnego wymyślić mogli tylko bezwzględni chwalcy dzisiejszego ustroju. Dość przypomnieć, do jakich to środków uciekać się musiała większość artystów i filozofów, aby sobie zdobyć kawałek suchego chleba. Taki Beethoven naprzykład, najgenialniejszy z muzyków, jakich świat wydał, pod koniec swego życia pisał do przyjaciela o jednym ze swych utworów, ze został napisany w najnędzniejszych warunkach „Smutne to, powiada, być zmuszonym do pisania dla kawałka chleba. Ot, do czegom doszedł!“

Podobnych proykładów moglibyśmy przytzczyc mnóstwo. Z tych zaś artystów, którzy nie żyli w nędzy, większość zwykle zawdzięczała swe utrzymanie zajęciu, nie mającemu nic wspólnego z sztuką. Uznanie publiczności najczęściej bowiem przychodzi zbyt póżno.

Pod tym względem społeczeństwo socyalistyczne stać będzie nierównie wyżej od dzisiejszego. Ci, którzyby, prócz swej sztuki, oddawać się musieli innemu jeszcze zajęciu, mieliby w każdym razie o wiele więcej wolnego czasu. Ci, którzy teraz tworzą dla garstki uprzywilejowanych, tworzyli by wtedy dla ogółu. Ci, którzy nie chcą mieć nic wspólnego ze sferami urzędowemi i wolą zwracać się wprost do publiczności, będą wówczas mogli łatwiej i lepiej żyć z dochodów pędzla lub pióra, gdyż będą mieli przed sobą liczniejsza, dojrzalszą i rozumniejszą publiczność niż obecnie. Niedorzecznym jest zarzut że tłum będzie złym sędzią, gdyż mógłby błyscotliwej miernocie oddawać pierwszeństwo nad wielkim, lecz skromnym talentem. Czyż doświadczenie nie poucza nas, że najzacieklejszych przeciwników nowe formy sztuki znajdują nie w masach, lecz właśnie w kastach uprzywilejowanych? Wszystkie prawdziwie wielkie dzieła, odzwierciadlające duszę całego ludu, zawsze pierwszy odczuwał lud, a przynajmniej tą jego cząstka, która niezupełnie jesz ze u egła potędże mroku.

Socyalizm uwieńczy swe dzieło nową sztuką, piękniejszą od dotychczasowej. Często słyszymy zdanie, że sztuka jest wiernem odbiciem społeczeństwa. Dziś odbija się w niej apatya i zwątpienie umierającej burżuazyi; odbijają się w niej troski i udręczenia, lecz także i nadzieje cierpiącego proletaryatu. W przyszłości odbijać się w niej będzie pogodna dusza szczęśliwych pokoleń, które, zostawiwszy daleko poza, sobą otchłań nędzy, stworzą ustrój, oparty na wszechwładzwie pracy, solidarności i miłości bliźniego.

E. Vandervelde.

Położenie włościan w Królestwie Polskiem

Za dawnych bardzo czasów, w początkach istnienia państwa Polskiego, ziemia należała do tych wszystkich, którzy ją uprawiali. Prywatnej własności ziemi wówczas nie znano, lecz mieszkańcy każdej wsi władali wspólnie całym uprawnym obszarem: gmina była właści-

cielem ziemi, do gminy należały lasy i pastwiska. Każda osada włościańska rządziła się sama; zebranie ogólne było najwyższą władzą w gminie. Lecz z czasem — najrozmaitszemi drogami — władza nad gminą dostała się w ręce pojedyńczych ludzi. Wówczas we wsi, zamiast wolnych i równych włościan, począł gospodarzyć jeden tylko, — zwał się on „szlachcicem". Z biegiem lat, gdy władza szlachcica wzrastała coraz bardziej, począł on uważać ziemię za swą prywatną własność, a włościan za swych poddanych. Poddani musieli uprawiać ziemię, wykonywać, jak dawniej, wszystkie potrzebne roboty na całym obszarze gminy, który powoli stał się „majątkiem" szlacheckim. Tylko lasy i łąki przez długie wieki pozostawały jeszcze własnością wspólną. Szlachcic zagarniał dla siebie plon tych wsi, których stał się władcą, a wzamian pozwalał włościanom uprawiać na ich wyłączny użytek kawałki ziemi, wystarczające im na wyżywienie się. Lecz choćby łany całe mógł wówczas włościanin użytkować dla siebie samego, to i tak nie byłby ani o włos bogatszy, gdyż, zmuszony przez kilka dni w tygodniu pracować dla pana, przez pozostałe dni zaledwie mógł kilkadziesiąt zagonów uprawić. Źródłem bogactwa szlachcica była jego władza nad ludźmi, nie zaś same obszary ziemskie. Źródłem chłopskiej nędzy była niewola, nie zaś brak ziemi. Nie posiadanie ziemi, nie *własność* ziemska była przyczyną bogactwa szlachty, lecz ich *panowanie* nad innymi i możność *użytkowania* z ziemi. Nie brak własności był przyczyną chłopskiej niedoli, bo wolnej ziemi było wówczas podostatkiem, lecz niemożność użytkowania z własnej swej pracy na własną korzyść. Źródłem złego było panowanie nad cudzą pracą, ukrywające się pod ówczesną formą własności ziemskiej.

Z biegiem czasu panowie przyzwyczaili się do nazywania całego wspólnego obszaru dawnych gmin wiejskich swoją prywatną własnością i zagarniali dla własnego użytku, kawałek po kawałku, nie tylko pola uprawne, lecz również lasy i pastwiska. Gdzieniegdzie tylko pozostały do dziś dnia, jakby na pamiątkę dawnego stanu rzeczy, gminne lasy i łąki, z których wszyscy mieszkańcy gminy mają prawo użytkować. Wspólna własność zaginęła i dziś nie istnieje. Lecz pamięć o niej żyje u ludu, który wciąż powtarza, że lasy, łąki i wody dane są dla wszystkich.

Poddaństwo chłopów istniało niegdyś prawie w całej Europie. Dopiero w końcu XVIII i początku XIX stulecia poczęło ono zanikać. Włościanin francuski zdobył sobie ziemię i wolność z bronią w ręku, podczas Wielkiej Rewolucyi; włościanin angielski otrzymał wolność wcześniej jeszcze, lecz opłacił ją zupełną utratą ziemi; włościanin polski, a raczej włościanin polski, mieszkający w Królestwie, otrzymał naprzód wolność, a dopiero później, w lat kilkadziesiąt — strzępy ziemi. W roku 1807, za czasów Księstwa Warszawskiego, wydano prawo, uwalniające włościan z poddaństwa. Włościanin przestał być niewolnikiem i stał się człowiekiem wolnym, jak każdy szlachcic. Chłop mógł od tej chwili przestać pracować na pana, gdyż prawo przestało go zmuszać do tego. Chłop był wolny: mógł przechodzić z miejsca na miejsce, co przedtem było mu wzbronione; mógł się żenić bez

pozwolenia pana; mógł zostać właścicielem ziemi lub bogatym kupcem; mógł żyć i umierać podług swej własnej woli, bez pańskiego rozkazu... Zniesienie poddaństwa, przeprowadzone we Francyi przez zwycięską rewolucyę, w Księstwie Warszawskiem było dziełem rządu.

Więc w roku 1815 do nowo utworzonego Królestwa Polskiego chłop wszedł jako człowiek wolny. Lecz sama wolność nie potrafi nakarmić człowieka. Do owego czasu panowie zdążyli już zagarnąć na swój własny użytek prawie całą ziemię zdatną pod pług, i włościanin, chcąc żyć, musiał pracować na pańskiej ziemi, tak samo jak pracowali jego ojcowie i dziadowie. Mógł, co prawda, przenosić się ze wsi do wsi, porzucić złego pana, gdy zanadto dokuczył, lecz kupić ziemi na własność nie miał za co, a szlachcic pozwalał mu mieszkać we wsi tylko pod warunkiem, że będzie na dworskich gruntach odrabiał pańszczyznę. I tak samo jak przedtem, za kawał ziemi, obrabiany dla swego własnego użytku, chłop musiał pracować na pańskiem. Tym sposobem i wolny chłop nie mógł użytkować ze swej całkowitej pracy na własną korzyść.

W pierwszych latach istnienia Królestwa materyalne położenie włościan było znośne. Ziemi pod uprawę szło prawie tyle, co idzie teraz *), ludzi było stosunkowo nie wiele, więc robotnik był ceniony. Lecz ze wzrostem ludności położenie włościan poczęło się pogarszać. Panowie mieli już dla siebie dosyć robotnika i nowych nie przyjmowali wcale, albo przyjmowali niechętnie, wymagając coraz dłuższej pańszczyzny i wydzielając coraz mniejsze kawałki ziemi. Ilość włościan w tej samej wsi wciąż rosła, lecz obszar roli przeznaczonej dla nich zmniejszał się. gdyż szlachta, mając dosyć robotnika, poczęła wyrzucać chłopów z ich siedzib i chłopską ziemię przyłączać do swych majątków. Wywłaszczanie włościan, przed wiekami rozpoczęte, poszło dalej z całą bezwzględnością... Bezrolni brali się do warsztatu tkackiego, wstępowali do fabryk, które powoli poczynały wyrastać, szli do miast szukać kawałka chleba, którego nie mogli znaleść wśród łanów zboża. Z tych wygnańców ze wsi zwolna powstawał proletaryat miejski.

Tylko niewielu włościan zdołało w tak ciężkich warunkach odłożyć trochę grosza i odkupić ziemię. Do roku 1860 zaledwie 2.585 rodzin chłopskich skorzystało ze swej wolności i zostało właścicielami gruntu. Reszta — miliony ludu — uprawiała w dalszym ciągu ziemię cudzą, i z każdym rokiem traciła możność uprawiania nawet tej cudzej ziemi. Krzywda, jaka się działa ludowi przez taki stan rzeczy, była tak widoczna że mieszczanie i nawet sami wywłaszczyciele, szlachta, myśleli o sposobach zaradzenia złemu. Jedynym środkiem, naprawiającym zło, było zwrócenie ziemi całemu narodowi. Lecz o podobnej reformie panowie aniby słyszeć nie chcieli, gdyż nikt przecie wyroku śmierci na siebie samego nie podpisze. Niektórzy z nich zgadzali się

*) W roku 1815 połowa ziemi Królestwa, to jest 50 procent powierzchni, szła pod pług. Teraz uprawia się 55 procent; reszta to lasy, łąki, nieużytki i grunta miejskie.

natomiast na mniejsze ustępstwo, na oddanie włościanom na własność gruntów, które oni już posiadali na prawach czynszu lub pańszczyzny. Lecz szlachcie z tem się nie śpieszyło, a przytem szlachta nie posiadała władzy politycznej, bez której przeprowadzenie podobnej reformy, jak i wszelkich wogóle reform prawnych, jest niemożliwe. Kraj był wówczas, tak samo jak dziś, pod panowaniem cara rosyjskiego, i można było przeprowadzać tylko takie reformy, na jakie on się zgadzał. Więc nawet najlepsze zamiary szlachty — o ile by były — musiałyby się rozbić o opór rosyjskiego rządu. Dopiero kiedy wybuchło powstanie 1863 roku, Rząd Narodowy, kierujący powstaniem, wydał manifest, nakazujący uwłaszczenie chłopów.

Manifest Rządu Narodowego, wydany dnia 22 stycznia 1863 roku, rozkazywał: „Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem.... Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju lub — w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi". Rząd Narodowy, jak widzimy, pragnął dać ziemię na własność nietylko włościanom, siedzącym już na pańskiem, lecz wszystkim robotnikom rolnym, komornikom i wyrobnikom; spodziewał się, że wszyscy staną do walki i krwią okupią utracone prawo do władania ziemią. I jeżeliby losy powstania poszły inaczej, wówczas władza polityczna zostałaby przy Rządzie Narodowym, a część władzy nad ziemią — przy wszystkich robotnikach rolnych.

Powstanie zostało zatopione w potokach krwi i najwyższa władza polityczna pozostała w ręku cara. Główną przyczyną upadku powstania było to, że lud, jako całość, nie był jeszcze świadomy swych interesów, własnych haseł politycznych nie miał, a narodowe za mało go pociągały. Masy chłopskie w powstaniu udziału nie wzięły i powstanie upadło. Manifest powstańczy nie mógł więc zostać wykonany przez tych, którzy go wydali. Lecz wiadomość o manifeście taką szeroką falą przebiegła po całym kraju, taką potężną otuchą natchnęła masy włościańskie, że car, zgniótłszy Rząd Narodowy, musiał wypełnić rozporządzenia tego rządu. W obawie, żeby w razie zaniechania oczekiwanej przez lud reformy nie wybuchnął gniew ludu i drugie, silniejsze od poprzedniego, powstanie, — car sam przeprowadził uwłaszczenie włościan. Lecz, nie mogąc dzieła manifestu zniszczyć, usiłował je przynajmniej popsuć.

Reforma włościańska, przeprowadzona natychmiast po zgnieceniu powstania, uwłaszczyła nie wszystkich chłopów, lecz tylko ich część; nie wszystkich robotników rolnych, lecz tylko tych, którzy już posiadali grunta na warunkach pańszczyzny lub czynszu. Ogółem włościan było wówczas, licząc wraz z rodzinami, 3.762.000; z tego osiadłych na pańskiem 2.423.000, a bezrolnych 1.339.000. Reforma carska dała grunta trzem milionom włościan osiadłych, a siedmset sześćdziesiąt tysięcy włościan nie dostało ani jednego zagonu. Pominięto zatem zupełnie piątą część chłopów i zepchnięto ich raz na zawsze w sze-

regi wydziedziczonych. Lecz nie dosyć tego. Trzecia część nadanych przy uwłaszczeniu posiadłości wynosiła mniej niż trzy morgi, to znaczy, że trzecia część chłopów dostała mniej, aniżeli potrzeba na wyżywienie rodziny. A z pomiędzy ziem, otrzymanych przez chłopów na własność, prawie żadna posiadłość nie przedstawiała jednolitego kawału gruntu, lecz składała się z małych pólek, porozrzucanych tu i owdzie pomiędzy gruntami innych właścicieli; a takie rozrzucenie gruntów uniemożebnia prawidłową gospodarkę i jest poprostu klęską dla rolnika. Rząd, przystępując do uwłaszczenia, głosił, że wszyscy włościanie otrzymają ziemię darmo; tymczasem obłożono grunta włościańskie wykupem, i chłop musiał za każdą piędź „nadanej“ ziemi zapłacić! Kupując ziemię własnowolnie od szlachcica, chłop mógłby wybierać sobie takie grunta, jakieby jemu się podobały, mógłby targować się o cenę i o warunki zapłaty. Tymczasem, przy takiej przymusowej odprzedaży, jaką było uwłaszczenie 1864 roku, chłop musiał brać takie grunty, jakie mu wyznaczył komisarz rządowy, i płacić za nie tyle, ile rząd zechciał. W dodatku — jakby na wieczną pamięć carskiego dobrodziejstwa — te sprzedane włościanom ochłapy ziemi obłożono wysokim podatkiem! Oto jak odbyło się uwłaszczenie.

Widzimy z tego, że car bynajmniej nie dał ziemi polskiemu ludowi. On tylko, zmuszony powstaniem, sprzedał włościanom tę samą ziemię, z której ci sami włościanie użytkowali poprzednio pod warunkiem odrabiania czynszu. Za tę zamianę wszystkim kazano płacić podatki, a trzeciej części ginąć z głodu na zbyt małych strzępach ziemi. Prócz tego, piątą część całego ogółu włościan — jakeśmy widzieli — pozbawiono raz na zawsze wszelkiego prawa do ziemi i puszczono z torbami. Rząd Narodowy chciał dać ziemię wszystkim włościanom; car, musząc ustąpić, kazał za ziemię zapłacić, i piątą część włościan pozbawił ostatecznie wszelkiego prawa do ziemi. Cała ta komedya, nazwana w urzędowym języku uwłaszczeniem chłopów, była w gruncie rzeczy ostatnim aktem odwiecznego wywłaszczania chłopów.

* * *

Skończyliśmy z historyą. Przejdźmy teraz do obecnego położenia włościan. Rozpatrując poniżej przytoczone cyfry, należy pamiętać, że włościanie od czasu „uwłaszczenia“ nabyli od szlachty około 400,000 morgów gruntu.

Cała powierzchnia uprawna Król. Polskiego obejmuje 22,594,000 morgów. Z tego należy:

Do rządu	1,340,000 morgów.
Do 2,527 wielkich właścicieli	6,774,000 „
Do 4,535 średnich właścicieli	2,408,000 „
Do 611,000 włościan	9,744,000 „

Reszta ziemi należy do drobnej szlachty, do miast i t. d. Widzimy, że półtrzecia tysiąca wielkich panów włada blisko trzecią częścią całego kraju! Jeżeli dodamy razem ziemię, posiadaną przez

wielkich i średnich właścicieli, zobaczymy, że siedem tysięcy sześćdziesięciu dwóch panów ma tyleż gruntu, co sześćset jedenaście tysięcy chłopów. Inaczej mówiąc, na jednego obywatela wypada tyle ziemi, ile na 81 chłopów.

Lecz podobnie jak ziemia całego kraju podzielona jest na nierówne części pomiędzy małą liczbą panów i wielką liczbą chłopów, tak samo znaczna ilość chłopskiej ziemi należy do stosunkowo małej liczby chłopów. Około 40.000 osad włościańskich posiada razem 1.620.000 morgów, co stanowi przeszło 40 morgów na osadę; czyli, że w ręku jednej piętnastej części włościan-właścicieli znajduje się jedna piąta część całego obszaru włościańskiego. Najmniejsza przestrzeń gruntu, potrzebna w naszych warunkach do utrzymania rodziny włościańskiej, wynosi 15 morgów. Tymczasem 204.000 osad posiada mniej niż trzy morgi, zaś 240.000 od 3 do 15 morgów. Innemi słowy, 72 procent, t. j. blisko trzy czwarte osad włościańskich nie może zabezpieczyć utrzymania dla chłopa-właściciela i jego rodziny. Zaledwie czwarta część wszystkich posiadaczy-chłopów może utrzymać się z pracy na własnym gruncie. Pozostałe trzy czwarte, t. j. główna masa ludności wiejskiej, pracą na własnej ziemi wyżywić się nie może. Trzy czwarte naszych chłopów właścicieli, chcąc żyć, musi szukać sobie zajęcia na dworskim gruncie, w dodatkowem rzemiośle, w fabryce. Są więc oni proletaryatem, któremu chyba na szyderstwo dają miano „właścicieli."

Włościanie, posiadający po 15 morgów i więcej, stanowią jedyną grupę włościan, której własność ziemi zapewnia utrzymanie. Jest ich około 167.000 rodzin. Prócz tego utrzymania posiadają oni względną swobodę i niezależność, co także jest coś warte. Niektórzy z tej grupy rok rocznie odkładają sobie trochę grosza i skupują ziemię chłopską lub parcele szlacheckich majątków. Tym sposobem powoli wytwarza się u nas nieznana do niedawna sfera zamożnych włościan, siedzących na kilkudziesięciu lub kilkuset morgach. Mają się oni lepiej od niejednego szlachcica i, jeżeli nazywa się szlachcica wyzyskiwaczem, to taki bogaty chłop jest zwykle wyzyskiwaczem dziesięć razy gorszym. Rzadko który z takich wiejskich bogaczy doszedł do majątku pracą uczciwą; lichwa, krzywda sierot i wdów, oszustwa przy podziałach — oto drogi, jakiemi jedni już zdobyli, inni zaś zdobywają ziemię. Jak dawniej szlachcic wywłaszczał powoli chłopów z ich prawowitej własności, tak teraz wiejski bogacz wywłaszcza w dalszym ciągu swych uboższych braci. Lichwiarze z ludu biorą na zastaw grunty od sąsiadów. Bywa, że za 25 kopiejek pożyczonych bierze taki dobrodziej w procencie morgę gruntu pod użytek. Są całe okolice, gdzie zamożność pojedyńczych gospodarzy opiera się tylko na dochodach, jakie osiągają z posiadania w zastawie gruntów. Zamożny gospodarz bywa czasem chlubą wsi, lecz jeszcze częściej jest jej zakałą.

Ogół włościan i tak zwanej „szlachty zagrodowej", posiadający jakąkolwiek własność ziemską, wynosi wraz z rodzinami 5.166.000. Jakeśmy już mówili, trzy czwarte osad włościańskich są zbyt małe, aby mogły wystarczyć na utrzymanie właścicieli; więc dla trzech czwartych włościańskich posiadaczy, t. j. przeszło dla trzech milionów

ludności wiejskiej własna rola nie daje dostatecznego utrzymania *). Te trzy miliony przymierają z głodu, zapożyczają się u katolickich lub żydowskich lichwiarzy, pracują jako najmici dworscy, wypasają cudze grunty a zimą kradną drzewo z dworskich i rządowych lasów, aby z wycieńczenia i chłodu nie zmarznąć na śmierć... W wielu okolicach Królestwa ludzie jadają chleb tylko przez osiem lub dziewięć miesięcy do roku. Na przednówku, jak wieś długa, nie dostaniesz ani kawałka chleba, choćbyś złotem płacił: jest tylko żur i kartofle, gdzieniegdzie mleko. A pod wiosnę, gdy już w skrzyni z mąką dno zaczyna przeglądać, wówczas niektóre gospodynie pieką chleb pół na pół z korą drzewną lub różnymi korzeniami. Zimą w tych wsiach mało kiedy widać wieczorem światło: ludzie śpią nietylko od zmroku do świtu, lecz także przez część dnia, bo śpiący mniej jadła potrzebuje. To wszystko dzieje się nie u jakichś lapończyków lub samojedów, lecz u nas w Królestwie, w kraju, gdzie przy równym podziale całego krajowego dochodu między wszystkich, wypada 486 rubli rocznie na każdą rodzinę!

Cóż jest wartą w takich warunkach dla olbrzymiej większości polskiego chłopa jego własność ziemska? Wszelka własność o tyle tylko ma sens, o ile przedmiotu własności możemy dla siebie samych używać. Własność kawałka ziemi o tyle tylko ma wartość, o ile zapewnia właścicielowi wyłączne użytkowanie z owoców jego pracy. A chłopi mają przedewszystkiem za mało ziemi, aby praca na niej wystarczyła im na utrzymanie; znaczną część pracy oddawać muszą za marne wynagrodzenie i pracują tym sposobem na cudzą korzyść, nie na swoją. Nawet przez ten czas, w ciągu którego orzą na swej własnej roli, nie pracują dla siebie: rząd upomina się o podatki i nie daruje ani złamanego grosza; zadłużenie ziemi włościańskiej wynosi około połowy jej wartości, a procenty, jakie chłop płaci swym wierzycielom, dochodzą czasem do bajecznych sum — dwieście lub trzysta procent rocznie. Więc praca i plony idą nietylko dla chłopa, lecz na opłacenie podatku i na opłacenie procentów od długu. Włościanin, orząc na swej własnej roli, nie pracuje wyłącznie dla siebie, jeno dla rządu i dla lichwiarza. I prawdziwą korzyść z dzisiejszej własności chłopskiej ciągnie nie chłop, lecz rząd i lichwiarz. Tak więc, dla olbrzymiej większości włościan, carskie uwłaszczenie było wyprzężeniem z jednej taczki po to, aby ich zaprzęgnąć do drugiej, jeszcze większej i jeszcze cięższej. Aby chłopi zaczęli pracować na siebie, trzeba, aby mieli tyle ziemi, ile tylko sami uprawić zdołają, aby przestała istnieć lichwa, i dzisiejszy system podatkowy został zniesiony. Cała ziemia polska, która została ludowi wydarta, winna być temu ludowi zwrócona. Potrzeba unarodowienia ziemi! Trzeba znieść lichwę i znieść dzisiejsze podatki!

Pozostaje jeszcze jedna część mieszkańców wsi, o której dotych-

---

*) Szlachty zagrodowej, liczącej koło 870.000 osób, nie bierzemy tu pod uwagę. Jeśli od 5.166.000 mieszkańców wsi odjąć liczbę szlachty zagrodowej, dostaniemy 4.296.000. Trzy czwarte tej liczby jest 3.222.000.

czas wcaleśmy nie mówili. Są to ci, którzy żadnej własności w ziemi nie mają: parobcy, fornale, służba dworska, leśni i t. d. Liczba ich, wraz z rodzinami, wynosi około 1.500.000. Położenie tej części ludności wiejskiej jest poprostu bajecznie nędzne. Pensye parobków w bardzo niewielu okolicach wynoszą 50 — 60 rs. rocznie; wartość ordynaryi nie dochodzi nigdy do 100 rs. Lecz to są wynagrodzenia wyjątkowo wysokie; zwykle zaś płace robotników wiejskich są znacznie niższe. Tuż koło żyznej ziemi sandomierskiej, w olbrzymich kluczach hrabiów Potockich, fornale pobierają po 12 do 16 rubli rocznych zasług, oprócz ordynaryi. Taki robotnik rolny, utrzymujący się wyłącznie z pracy na cudzem, jest tak nędznie wynagradzany, jak żaden inny robotnik w jakiejkolwiek gałęzi przemysłu. Prócz tego ci ludzie nie mają określonego dnia roboczego, na każde zawołanie muszą się stawić do pracy, są raczej niewolnikami, aniżeli ludźmi wolnymi.

Ludności wiejskiej jest wszystkiego razem sześć i dwie trzecie miliona. Z tego trzy miliony nie mogą się utrzymać z pracy na własnym gruncie, a półtora miliona — to nie posiadacze, lecz tylko najemni robotnicy. Nasza wieś nie jest wsią chłopską, bo chłop — to taki właściciel kawałka ziemi, którego ta jego własna ziemia może wyżywić. Tymczasem cztery i pół miliona wieśniaków z własnego gruntu wyżyć nie może. Nasza wieś nie jest wsią chłopską, lecz wsią proletaryacką...

....Z wywłaszczonych włościan, z robotników rolnych, którym naprzód wielki właściciel, a później rząd rosyjski wydarł ostatnie zagony, powstawał powoli nasz proletaryat fabryczny. Jest on kością z kości, krwią ze krwi wiejskiego ludu. Szeregi jego do dziś dnia pomnażają się nieprzerwanie nowymi przybyszami ze wsi. Znaczna część dzisiejszych robotników fabrycznych na wsi zostawiła rodziców, na wsi ma braci i krewnych. Dawna siedziba proletaryatu fabrycznego — to wieś; dawne dzieje tego proletaryatu — to dzieje włościan. I proletaryat fabryczny, pomny tych więzów, łączących go ze wsią, wyciąga dziś dłoń ku swym wiejskim braciom. Jedna ich ziemia zrodziła i razem muszą stanąć do walki o wolność.

Stefan Karski.

Ruch robotniczy w Japonii

Któż z nas w ostatnich czasach nie słyszał o Japonii? Mongolski ten kraj, położony na krańcach Azyi, zaczyna odegrywać w polityce coraz donioślejszą rolę, zwłaszcza od chwili, gdy sprzymierzył się z Anglią, aby postawić zaporę zaborczym zapędom Rosyi. A jednak do niedawna jeszcze Japonia bardzo mało była znana europejczykom i niczem na pozór nie różniła się od pozostałych krajów mongolskich Azyi wschodniej. Przed trzydziestu dopiero laty Japonia zaczęła po-

rzucać dawne swe, odwieczne urządzenia i zastępować je urządzeniami europejskiemi. To cywilizowanie Japonii odbywa się z niezwykłą energią i szybkością. Od lat trzydziestu tysiące młodych japończyków corocznie przybywa do Europy i Ameryki, aby studyować nowoczesną naukę, sztukę, technikę, organizacyę armii i marynarki, stosunki społeczne i polityczne, słowem, wszystkie dziedziny życia narodów cywilizowanych i aby po powrocie do swego kraju wprowadzić u siebie wszystkie najnowsze zdobycze cywilizacyi. W ten sposób Japonia w ciągu jednego tylko pokolenia zdobyła to, co w Europie wytwarzało się w ciągu wieków całych. W ciągu lat trzydziestu powstały w Japonii niezliczone szkoły ogólne i specyalne, pojawił się znaczny zastęp specyalistów we wszelkich dziedzinach wiedzy, powstały koleje żelazne i telegrafy, marynarka handlowa i wojenna, przemysł fabryczny, w którym stosowane są najbardziej udoskonalone maszyny, a wraz z przemysłem powstał i proletaryat, zjawisko przedtem zupełnie nieznane w Japonii. Zarząd państwa został zreorganizowany na sposób europejski, a na czele jego stanął rząd konstytucyjny z parlamentem, wzorowanym na sejmie pruskim. W Japonii klasy posiadające stanowią wielką siłę, a lud nie stoi jeszcze tak wysoko, aby się interesował sprawami państwowemi. To nam tłómaczy, dlaczego Japonia wzorowała się właśnie na parlamentaryzmie pruskim, najreakcyjniejszym w Europie. Tak samo jak w Prusach, rząd japoński nie jest odpowiedzialny przed parlamentem a wpływ na prawodawstwo mają tylko ci, którzy opłacają dość wysoki podatek. Klasy pracujące są zupełnie pozbawione prawa głosowania.

Przemysł fabryczny japoński pomimo krótkiego swego istnienia zdołał już osiągnąć wysoki stopień rozwoju. Szczególnie szybki wzrost produkcyi fabrycznej daje się zauważyć od czasu wojny chińsko-japońskiej w roku 1894. Ponieważ jednak parlament znajduje się w rękach klas posiadających, a proletaryat zaledwie dopiero występować zaczyna na arenę polityczną, przeto w Japonii niema dotychczas żadnych praw, ograniczających wyzysk siły roboczej. To też wyzysk robotników, zwłaszcza kobiet i dzieci, panuje tam niesłychany. W wielu fabrykach młode dziewczyny wiejskie, zakontraktowane na 3 lata, żyją zupełnie jak w więzieniu. Przez cały ten czas nie są one wypuszczane poza obręb fabryki; odgrodzone murem od reszty świata, sypiają po kilkadziesiąt w wielkich izbach i żywione są przez fabrykanta, który wytrąca im za to więcej niż trzecią część ich zarobku. A zarobek to nadzwyczaj niski, około 25 kopiejek za pracę, trwającą do 16 a nawet 18 godzin dziennie. Przez cały czas trwania kontraktu fabrykanci nie dają im do ręki nawet części zarobionych pieniędzy w obawie, aby nie uciekły z fabryki.

Jeszcze większym jest wyzysk dzieci. W wielu fabrykach przy maszynach pracują ośmioletnie dzieci przez 8 godzin dziennie za 12 kop., a w fabrykach zapałek, w warunkach zabójczych dla zdrowia, widzieć można sześcioletnie biedactwa, pracujące cały dzień za cztery kopiejki! Przeciętna płaca dorosłego mężczyzny wynosi 50 kop. przy dniu roboczym znacznie dłuższym niż w Europie. Z tego zarobku

utrzymywać się musi cała rodzina! A trzeba dodać, że wielki przemysł zrujnował masy całe drobnych producentów i zapełnił miasta tysiącami ludzi, którzy nawet za tak nędzną płacę pracy znaleść nie mogą. Wprawdzie od czasu do czasu odzywają się nieśmiałe głosy, że parlament powinien zająć się losem robotników i choć w części przynajmniej ograniczyć panujący dziś wyzysk, ale nowopowstała burżuazya japońska z oburzeniem odpycha wszelką nawet myśl o prawodawstwie robotniczem. We wszystkich innych dziedzinach wprowadza ona u siebie wszystko, co tylko Europa ma najnowszego; jedynie tylko położenie robotników przypomina stosunki, które w Europie panowały przed kilkudziesięciu laty.

W takiej to formie cywilizacya europejska dała się poznać japońskiej klasie pracującej.

Ale wraz z cywilizacyą europejską klasy posiadające, nie wiedząc nawet o tem, zaszczepiły na gruncie japońskim zarodki klasowego ruchu robotniczego. Dzieło cywilizacyi tylko wtedy będzie w Japonii dokonane, gdy proletaryat stanie się tam potęgą, gdyż tylko wtedy dobrodziejstwa cywilizacyi przestaną być monopolem klasy posiadającej, a staną się dostępne dla całego narodu. Otóż szybki rozwój przemysłu stwarza właśnie owe szeregi proletaryatu, który w przyszłości ma tego zadania dokonać.

Ruch robotniczy w Japonii jest bardzo świeżej daty. Pierwszy wielki strejk miał miejsce w roku 1873 w rządowych warsztatach metalowych. Sześciuset robotników zażądało wówczas podwyższenia płacy i po trzech dniach zwyciężyło. Zdarzały się potem inne jeszcze, mniejsze strejki, organizacyi jednak poważnej przez długi czas nie było.

Dopiero w roku 1897 powstała pierwsza wielka organizacya robotników japońskich. Była nią organizacya giserów, licząca 1,500 członków. Mimo że istnieje ona kilka lat zaledwie, zdziałała już wiele dla młodego ruchu robotniczego. Oddziały jej, w liczbie 41, rozrzucone są po całym kraju, centralny zaś zarząd mieści się w stolicy we własnym domu. Organizacya giserów powołała do życia cały szereg stowarzyszeń współdzielczych, w których robotnicy pracują sami na siebie.

Jednocześnie z tą organizacyą powstało pierwsze japońskie pismo socyalistyczne pod tytułem „Świat robotniczy". Redaktorem tego pisma, wychodzącego raz na dwa tygodnie, jest towarzysz Sen Katayama, jeden z pierwszych socyalistów japońskich. Będąc na studyach w Ameryce, przyjrzał się zbliska tamtejszemu ruchowi robotniczemu, przejął się zasadami socyalizmu i postanowił poświęcić swe życie sprawie polepszenia doli robotników japońskich. Powróciwszy do kraju rodzinnego, założył pismo i rozwinął energiczną i wszechstronną działalność. W stolicy kraju, Tokio, założył uniwersytet ludowy, w którym wykłady prowadzone są przeważnie przez studentów. Młodzież inteligentna ma tu sposobność stykania się z robotnikami, poznawania ich życia i potrzeb i zawiązywania z nimi bliskich stosunków. Pod tym względem uniwersytet ludowy ma dla ruchu robotniczego doniosłe znaczenie. Nie poprzestając na działalności w stolicy, Katayama odbywa także podróże

agitacyjne po całym kraju, a w piśmie swem nie przestaje nawoływać robotników do zakładania organizacyi zawodowych i stowarzyszeń współdzielczych, których jest wielkim zwolennikiem. Pismo to wkrótce ma zacząć wychodzić codziennie.

W roku 1898 zawiązała się druga wielka organizacya, związek robotników kolejowych. Nastąpiło to po strejku, w którym uczestniczyło 800 robotników kolejowych i który zakończył się świetnem zwycięstwem. Związek kolejarzy jest obecnie najsilniejszą organizacyą robotniczą w Japonii i posiada bogatą kasę strejkową. W ciągu trzyletniego swego istnienia organizacya ta wymogła na zarządzie kolejowym ważne ustępstwa. Tak naprzykład, zarząd kolejowy przy przyjmowaniu lub uwalnianiu ze służby robotników musi się liczyć ze zdaniem organizacyi.

Trzecią wreszcie wielką organizacyą jest związek zecerów, liczący 2.000 członków i wydający własne pismo. Prócz tych trzech wielkich organizacyi istnieje cały szereg organizacyi mniejszych, mniej lub więcej wpływowych.

Wszystkie te organizacye prowadzą walkę ekonomiczną, mając na uwadze interesy tego lub innego zawodu. Od niejakiego czasu jednak robotnicy japońscy coraz lepiej zaczęli pojmować, że podobna, czysto ekonomiczna walka nie może wystarczać; coraz więcej zwolenników zyskiwała myśl o potrzebie założenia partyi robotniczej, któraby prowadziła walkę na gruncie politycznym i broniła interesów proletaryatu jako całości. Myśl ta wreszcie doczekała się urzeczywistnienia i w czerwcu roku 1901 założoną została japońska partya socyalno-demokratyczna. Partya ta natychmiast została przez rząd zakazana, a wszystkie pisma, które jej odezwę wydrukowały, zostały skonfiskowane i pociągnięte do odpowiedzialności sądowej. Sąd wydał jednak wyrok uniewinniający.

Ten postępek konstytucyjnego rządu pokazuje, że robotników japońskich czeka jeszcze trudna walka, zanim usuną przeszkody, stawiane im przez rząd, który w naiwności swej mniema, że, rozwiązując partyę, uniemożliwia dalsze szerzenie się ruchu socyalistycznego. Szybki rozwój świadomości klasowej wśród proletaryatu japońskiego jest najlepszą rękojmią, że walka ta, choć trudna, długą nie będzie i w niedalekiej przyszłości zakończy się zwycięstwem.

E. P.